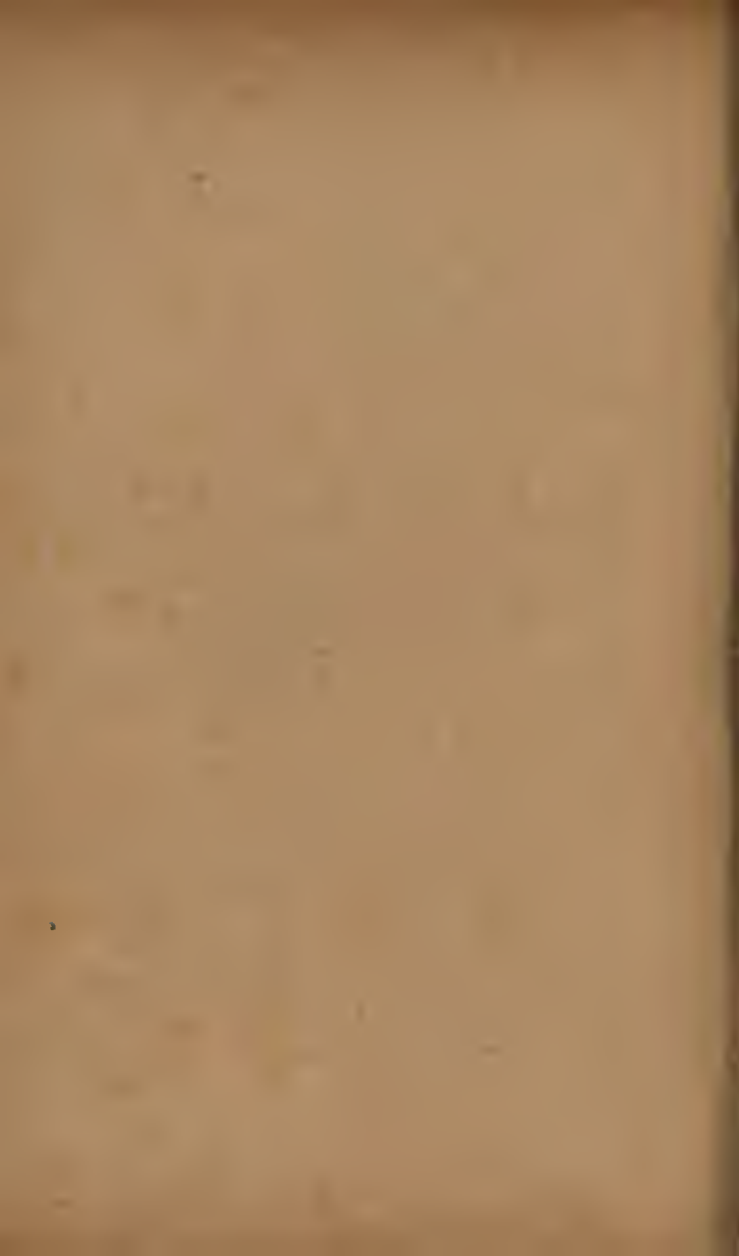


# BIAŁY KSIĄŻĘ.



**J. I. KRASZEWSKI.**

**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**

**XV.**

---

**BIAŁY KSIĄŻĘ.**

**CZASY LUDWIKA WĘGERSKIEGO.**

**T O M II.**

---

**KRAKÓW.**

**Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.**

Gebethner i Wolff.

Michał Glöcksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wenig.

1882.



## I.

Orszak, złożony z kilku rycerzy i kilkunastu czeladzi, w dolinie, po nad którą łańcuch wzgórz panował w dali, zatrzymał się na gościńcu.

Jadący przodem człeczek na mule, palcem wskazywał, śmiejąc się, na znaczne miasto, które ztąd dobrze teraz widać było.

Do koła krajobraz zielony roztaczał się dosyć wdzięczny, acz mało urozmaicony. Oprócz szarego gór łańcucha, zamykającego z jednej strony widnokrąg, z panującą nad wyżynami górą wyniosłą, małe tylko pochyłości widać było w dolinie, winnicami do koła zasadzonej. W pośród nich niewielkie zbóż kawałki, gdzieniegdzie drzew kupki i domki białe, nędzne, leżały rozpierschłe.

Miasto, na które przewodnik jadącym doń wskazywał, na owe czasy wcale okazałe się i poważnie przedstawiało przybywającym. W koło

mocnymi murami i basztami otoczone, w pośrodku jeżyło się wieżycami kościołów, podniesionymi zębatego szczytu gmachów, dzwonniami i różnych kształtów wieżami.

Stało ono na niewielkim pagórku, a po za ścianami murów jego rozsiadły się przedmieścia, całe w cieniach i ogrodach.

Widok był piękny, bo gród na stolicę wyglądał i zdawał się wyzywać nieprzyjaciół, tak zbroja jego kamienna była mocno na nim opięta i najeżona piętrami bastyonów.

Piękny wieczór letni ze złoconem niebem, które prawie w tej porze miało barwę południowych stref, blaskiem swym dodawał jeszcze wyrazistości widokowi. Każda z wieżyc, każdy załom muru, dach i szczyt, każda pręga kamienna, rzucając cień silny, uwydatniała się na tle nieba i sinawego oddalenia.

Niektóre części budowli stały prawie sino-czarne, utopione w mroku, inne zdały się ozłoczone, a gdzieś tam słońce, bijąc w błony okien, zapalało jakby ogniska na nich czerwone i płomienne.

Światło, padające z góry, najjaskrawsze na szczytach, powolnym stopniowaniem bladło w dole i rozlewało się w pół mroku. Drzewa także na wierzchołkach, jakby pokropione złotem, układały się we wdzięczne grupy fantastycznych kształtów, to pozaokrągłane, to strzelające do góry, zbite

w gęste masy i rozwiane, jakby we mgłę zielonawą.

Podróżni, stojący na wzgórzu, z jakimś uczuciem religijnem, wszyscy zwolna krzyż zakreślili na piersiach, wlepiając oczy w miasto, z którego dzwonnice właśnie na jakieś nabożeństwo wołające ozwały się dzwony.

Stali daleko, ruchu miejskiego wcale ztąd dojrzeć nie było można, głos ten tylko, jakby mowa grodu, witał przybywających powolną jakąś, niezrozumiałą piosenką.

Podróżni, jako łącno poznać było po ich okurzonej odzieży, znużonych koniach, opalonych trudem i słońcem twarzach, musieli przybywać z daleka.

Czterech ich przodowało orszakowi, reszta jako czeladź i służba trzymała się dalej nieco.

Trzej z rycerzy byli już ludzie niemłodzi, jeden nawet włos miał siwy u skroni, czwarty młodszy i najweselszego oblicza, może z największą ciekawością przypatrywał się nowemu dla siebie krajobrazowi.

Starsi byli to Wielkopolanie Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłaga, Wyszota z Kórnik, młodszy i towarzyszący im nie kto inny, jak Lasota Nałęcz.

Po długiej i nużącej podróży stali blisko jej celu i nie bez pewnej obawy wpatrywali się

w mury tego miasta, po za któremi były ich nadzieje.

Aż tu szli oni szukać w klasztornej klauzurze tego Piasta, którego u siebie nigdzie znaleźć nie mogli.

Zeszli na jednego, ostatniego, na tego Włodka, zwanego Białym księciem, o którym nie wszyscy jednak mówili. Przykładem tych, co niegdyś Kaźmirza od Benedyktynów na tron wzięli, i oni jechali wyzwolić zamkniętego, aby mu do tronu otworzyć wrota.

Skutek był bardzo wątpliwy, lecz, panowanie i władza mają urok wielki, przychodzili kusić, spodziewali się, że blaskiem korony pociągną, mieli nadzieję, że ze słabego człowieka uczynią potężnego, że z niestałego i chwiejącego się w postanowieniach mocnego bojownika zrobią.

Wszyscy oni znali go niegdyś, wiedzieli, że dziwnym był i rzucającym się łatwo na to, co mu zabłysło i zrażającym również prędko lada przeciwnością, lecz naówczas był on małuczkim panem na Gniewkowie, a oni mu przynosili nadzieję polskiej korony.

Cała niemal Wielkopolska go wzywała, cała chciała iść z nim i za nim, cała się wzdrygała pokrzywdzona przeciw rządowi króla Ludwika i jego matki.

Przedpełk, Szczepan i Wyszota pamiętali go młodszym i zdawało się im, że podróże, spoczy-



nek, klasztor, cierpienie ukołysały krew gorącą, a dały mu spokój ducha i wytrwałość.

Lasota, dodany przez Dersława, rozkaz wziął patrzeć, słuchać, pomagać, lecz sam występować czynnie nie miał ni zlecenia, ni ochoty.

Najstarszy Przedpełk najmocniej był o tem przekonany, że to, co on wymarzył, miało się znaleźć w Białym księciu. Mówił, że go nauczyło doświadczenie podobnego dojrzewania charakterów.

Szczepan z Trłaga więcej niż na samego księcia, któremu mniej ufał, rachował na to, że oni go otoczą, dozorować będą i kierować nim, że każdy z nich coś mu ze swej siły wleje.

Wyszota z Kórnika miał też nadzieje dobre, lecz je opierał na tem, że się w Białym obudzić musi żądza panowania, będąca we krwi.

Trzej posłowie Wielkopolan mniej więcej goździli się ze sobą w nadziejach, lecz nie w sposobie, jakiego zażyć było potrzeba, aby się one ziściły.

Stary Przedpełk myślał, że zapanuje nad księciem słabym, Szczepan chciał go ująć swobodą, dostatkiem, świetnym ożenkiem z młodą jaką księżniczką, słowem, światową pokusą; Wyszota sądził, iż pokorą, padaniem do nóg, oddawaniem mu czci najłatwiej go rozbudzą do czynów.

Choć wszyscy oni, głośno mówiąc, nie przypuszczali, ażeby się im mogło ni powieść i do-

wodzili, że nie ma człowieka, co by koronę przynoszoną mu odrzucił, jednak każdy z nich, gdy sam z sobą i myślami pozostał, frasował się i wąpił.

Wszyscy, choć się do tego nie przyznawali głośno, wiedzieli, że na dziwaczego Włodka Białego trudno było rachować na pewno.

A jakim go klasztor uczynił, tego się tylko domyślać mogli. Od powrotu z ziemi świętej nikt nie widział księcia.

W chwili, gdy stolica Burgundyi, którą jedni z francuzka Diżonem, z drudzy z łacińska Dywjonem zwali, pokazała się wreszcie oczom, długo już tęsknie jej wypatrującym, gdy przewodnik Francuz pokazał im najwyższą wieżę kościoła św. Benigna, przy którym był klasztor Benedyktynów, a w nim ów ksiązę, wygnaniec dobrowolny, nadzieja Wielkopolanów, wszyscy oni posmutnieli.

Losy ich poselstwa wprędce się rozstrzygnąć miały.

Każdemu z nich teraz stanęły trudności zadania, od czego począć? jak postąpić?

Przedpełk pierwszy przeżegnał się, znakiem tym wzywając niejako opieki Bożej, za nim poszli drudzy.

Przewodnik, mały człek, twarzy czerwonej, okragłej, wesołej, lśniącej, rad, że już zbliżył się do celu, był w najlepszym humorze, śmiał się do

nich w przekonaniu, iż oni też równie być powinni weseli, i zdziwił się mocno, zobaczywszy zasępionych.

— Tak, tak, miłościwi panowie — wołał w swoim języku głos coraz podnosząc — to, to jest stolica Burgundyi i wielkich książąt zachodu (Grand Ducs d'occident). Tam około miasta, chociaż ztąd ich nie widać, płyną rzeki nasze, Ouche i Suzon, tam dalej dolina Saony. Ta wieża, górująca nad innemi, to kościół patrona św. Benigna, choć nie mniejszy od niego św. Urban, którego grób ma kościół św. Jana... oto ten... za murami... Widać go ztąd dobrze.

Tam dalej kościół św. Michała, a tu... N. Panna Targowa (du Marchè), a te mury dnże... to klasztor Kartuzów, którzy wino robią doskonałe dla Ojca świętego i co roku mu je posyłają, bo takiego, jak nasze, cały świat nie ma.

Inne wina to kwas i *piquetka* przy burgundzkiem, a Kartuzi mają sekret, że go lepiej, niż inni, robią.

Stary rozgadawszy się, nie mógł powstrzymać, zwłaszcza wpadłszy na wino, które lubił.

— Zobaczycie, miłościwi panowie, gdy wam Benedyktyni, bo podobno do nich jedziecie, dadzą pokosztować tego, co oni sami piją... he! Chenove, Vosne, Pomard, Volnay, po szklaneczce człowiek odmłodnieje. To życie daje.

Czy tych pochwał winnie bnrgrndzkich słuchali posłowie, którzy konie trochę powstrzymawszy, w zadumie ciągle na miasto patrzyli, przewodnik nie umiał odgadnąć, widząc jednak, że dość obojętnie przyjmowano jego objaśnienia, zabierał się ruszyć naprzód.

Tymczasem Przedpełk, cichą dokończywszy modlitewkę, odezwał się do Szczepana.

— A co, bracie, nie wystoimy tu nic, jedźmy, trzeba raz to skończyć.

— Tak — odparł pan z Trłaga — co nalano, wypić musimy.

Westchnął.

Wyszota, który czasem się lubił sprzeczać, choć niewiele od nich mężniejszy, podchwycił.

— Tylko śmiało! Przedpełkowi teraz coś markotno i trwożno, no, a ja najlepszą mam otuchę. Z rana baba nam drogę przeszła z pełniuteńkami dzbanami, z których się lało.

Dobry *omen*.

Rozśmiał się Lasota i dodał.

— Lepszy jeszcze znak, że zając, który się już nam wysworował drogę przebiecz, nłakłszy się... zawrócił.

Jechali tedy, z miasta nie spuszczać oka, a to się im coraz wyraźniej rysowało, chociaż ostry blask zachodzącego słońca spełził już był, cały krajobraz leżał w pół mroku i w dali tylko ostatni promień światła, oddaleniem zamglony,

blado na wierzchołku góry, Affryką zwanej, zawisnął.

— Jak oni tu te swe ogrody, jak kościoły budują! — westchnął, przyglądając się, Przedpełk — co za gmachy, co za wieże! a jacy to budowniczkowie, co kamień umieją wyrzynać jak kość słoniową i rzeźbić tak misternie! Kiedy my coś podobnego potrafimy.

— Jak gdyby — sprzeciwił się Wyszota — nasze kościoły także piękne, choć na inny sposób, nie były. Dajemy Panu Bogu, co mamy. On nam kamienia poskapił, musimy Mu z cegły wznosić świątynie.

— Tak — rzekł Przedpełk — ale my bo i cegły tak, jak Krzyżacy, nie nmiemy wypiec, polewają ją okryć i tak się z nią obejść, jak ci czarownicy. Oni piszą na murach ceglami, a w Malborku ci, co z królem Kaźmirzem byli, mówią, z maleńkich kamyków nawet obraz Matki Boskiej ułożyli, przed którym ino na twarz padać. Stoi, jak żywa, jakby się zjawiała.

— No — odparł Wyszota — juści temu, co Kaźmirz nieboszczyk pobudował, nic zarzucić nie można. Gmachy są przepiękne, a niech nam drugiego Kaźmirza Bóg da... będą jeszcze wspólniejsze...

— Otóż! otóż! — westchnął Szczepan. — Drugiego nam takiego Piasta tylko brak...

Lasota, który pana oplakiwał dotąd, zawołał z wyrazem wielkiej boleści.

— Takiego, jakim Kaźmirz był, nie znajdziemy i wieki miną, a nie będzie. Kaźmirze tacy mra bezdzietni!

Jadący przodem na mule coraz pospieszał, oglądając się na nich, i tak ich aż do wrót do prowadził.

Stała w nich straż miejska, lecz że dzień był gorący, a czasy spokojne, na przybywających niewielką zwracała uwagę.

Wyszedł, przecierając oczy, zaspany człek, w pół zbroi, z halabardą, a bosy, posłuchał, niewiele zważając, co mu mówiono, i ręką im pokazał na miasto.

Przewodnik się był zobowiązał zawieść ich do dobrej gospody niedaleko św. Benigna, a o której opowiadał, że równej sobie nie miała, zwłaszcza piwnicą, gdyż tam zamkowa dwornia uczęszczała.

Gospoda była pod znakiem Złotej tarczy i szlachta a rycerstwo stawało w niej. Burgundczyk ręczył, że u Urbana Bonjeana ani głodni, ni spragnieni nie będą.

Jechali tymczasem ciasnemi i dosyć krętymi uliczkami, które wysokie a nierówne domostwa otaczały, dziwnej budowy, z galeryami, znakami, wyskokami murów, klatkami zawieszonemi nad ulicą, z ogromnemi niskimi bramami czarnemi,

w których ciemności widać było popstrzone światłkami dziwacznie.

W tych przejściach już ludno było i gwarno. Przed niektórymi domami stali ludzie poubierani w najosobliwszy sposób, rozmawiając głośno, pędzono bydło, prowadzano konie, tu i ówdzie pokazywał się zbrojny jeździec, który drzewcem włóczni zapierających mu drogę rozpychał.

Na naszych podróżnych, po których poznawano łatwo, że z daleka przybywać musieli, oglądano się ciekawie. A że przewodnik im drogę torował, dowiadywano się od niego o ich pochodzeniu, o którym on pono też mało wiedział. W ten sposób zwolna musieli przebyć znaczną część miasta, nim się na plac przy katedrze dostali.

Lecz po drodze było na co patrzeć, bo, choć większa część uliczek brudna była i niepozorna, mijali też gmachy wspaniałe i budowy piękne. Kilka razy Przedpełk się musiał zatrzymać, bo przy rogach domów i po placykach spotykali to mękę Pańską, to obraz N. Panny, to wizerunek jakiego świętego, przed którym się pokłonić musieli.

Burgundczyk na ostatek z równą pociechą i równie wesołym uśmiechem, jak wprzód, miasto, tak teraz im wskazywał gospodę pod Złotą tarczą.

W istocie nad szeroką, otwartą bramą domu



rozległego, przez którego okna widać było ogień rozpalony we wnętrzu, wisiała tarcza wyzłacana.

Opasły człek, rumiany, jasno ubrany, w czarnym berecie na głowie, stał u wrót, jakby na podróznego czatując, chociaż gospoda próżną już nie była. We wrotach ludzi zwijało się dużo, z okien buchał gwar.

Gdy się zbliżyli podróżni nasi, a Lasota, który język lepiej umiał, wystąpił dla umowy z gospodarzem Urbanem; znalazł u niego uśmiech uprzejmy, ukłon niski i przyjęcie wiele obiecujące.

P. Urban zaręczył, iż nigdzie im lepiej, bezpieczniej, wygodniej ani taniej być nie może, Zachwalał przy tem wino swoje.

Pozsiadali wszyscy z koni, i oddawszy je służbie, która do stajni prowadziła, sami za p. Urbanem weszli do wielkiej izby gościnnej, bo innej wówczas, nad wspólną dla wszystkich, nie miało.

Tu, na oko, trudno miejsce upatrzyć było, tak wszystkie stoły osadzili goście różni, lecz dla dostojnych cudzoziemców Urban postarał się jeden kąt opróżnić.

Wszyscy się im ciekawie przypatrywali.

W głębi izby, starym obyczajem, pod oczyma gości była kuchnia. Mogli być świadkami, jak się dla nich przygotowywało jadło i zawczasie nasycić jego wonią. Skwar i zaduch, mimo okien



otwartych panował wielki, a i wrzawa przy stołach nie mniejsza. Znaczniejsza część gości już była skosztowała doskonałego Chenove, którym gospodarz słusznie był dumny, języki rozwiązały się i głosy spotężniały, a miarkować ich nikt nie myślał, bo w gospodzie każdy panem i wszystko wolno.

Żołnierze zamkowi, właściciele winnic i posiadłości z okolicy, nawet księży kilku znalazło się za stołami.

Wśród tego natłoku nikt z przybyłych, gdy się ze zbroi rozdziewali, pasów popuszczali i mieścili na twardych ławach, nie zważał na człowieka małego, pękatego, z dużą głową, jak kręgla utoczoną, a trocha łysą, z oczyma wielkimi i ustami szeroko rozciętemi, — który od wnijscia podróżnych nadzwyczaj się im pilno i z wielkiem przypatrywał zdumieniem.

Tak się zdawał zdziwiony i niemal przelekły zobaczywszy ich, iż usta wielkie otwartwszy mimowolnie, stał jak osłupiały, nie spuszczając już z nich oka.

Człek był lat średnich, spasty, ubrany osobliwie, bo miał suknię czarną i jakby mniszą, podpasaną skórzanym paskiem, a na nogach proste trzewiki bez pończoch, na boso wdziane.

Gdy podróżni nasi usiedli, człowiek ten zwolna i nieznacznie, kołując, tocząc się, podsunął jak mógł najbliżej ku nim, i ucho skierowawszy

w stronę ich, choć udawał czem innem zajętego, pilno nasłuchiwać zaczął.

Przedpełk z Wyszotą mówili z sobą dosyć głośno po polsku — jakiś wyraz doleciał do uszu ciekawych, i mały człek drgnął, zaśmiał się, ręce mu tłuste i mięsiste mimowolnie się złożyły jak do modlitwy, twarz zwróciła ku przybyłym. Z wyrazu jej wnosić było można, iż jakaś nadzwyczajna szczęśliwość całą jego istotą wstrząsała. Uśmiech, który wszystkie zęby, białe i gęste obnażył, rozlał się po policzkach, czole, zmienił tę pyzată twarz w promieniejący obraz zachwycenia... Ktoby go był naówczas zobaczył, sądziłby, iż miał widzenie niebieskie.

Chwilę postawszy, nagle rzucił się do najbliższego stojącego Wyszoty, pochwycił rękę jego i nie mówiąc, całować ją począł. Łzy mu na nią strumieniem z oczów płynęły.

Wyszota patrzył nań, nie rozumiejąc, co to znaczyć mogło, i czego chciał ten napastliwy człeczyna, gdy z ust jego wyrwało się.

— Boże miłosierny! Nasi! nasi!

Po polsku wymówione wyrazy te wszyscy usłyszeli i obrócili się ku niemu.

Tłusty ów człek począł się dwoma kulkami bić po piersiach, śmiać się i wołać.

— A toć ja jestem Busław... Buśko! a toć ja z tamtych, co i wy! Ach! Boże, myślałem, że dojdę, gdym tę mowę posłyszał. Nie ma na świe-

cie takiej muzyki, jak ta mowa. Miłościwi panowie, przez rany Zbawiciela... mówcie jeszcze, abym słuchał...

Zkąd wy tu? zkąd? zkąd?

— My? my? — odparł Przedpełk zbliżając się — co my... ale ty zkąd się tu wzięłeś u licha?

Śmiejąc się, ruszył ramionami mały, jak gdyby litował temu dziwnemu zapytaniu.

— Ależ ja jestem Buśko! Buśko! a któż nie wie o Buśku? Boże miłosierny!

Spojrzeni po sobie wszyscy, ale o tym Buśku nikt nie wiedział i nie słyszał. Wyszota tylko domyślać się począł i wpadł na przypuszczenie, że chyba z Białym może tu przywędrował. Tylko trudno było posądzać księcia, aby tak niepozornego, prawie karłowatego sługę, mógł upodobać, za sobą ciągnąć i zatrzymywać.

Rzekł tedy Wyszota.

— Słuchaj i miej rozum... Żaden z nas o Buśku nie wie... Kat cię zna, zkądeś się tu wziął. Mów.

Buśko z wesołego stał się nagle dziwnie zasępionym.

— A to mi miłość wasza śliczną rzecz powiadacie! — zawołał — że już o Buśku nikt na świecie nie wie, że o nim, a chyba już i o jego panu wszyscy zapomnieli.

— Któż twój pan? — zapytał Przedpełk.

Ruszył ramionami oburzony tem Buśko.

— Mój pan — rzekł — a! prawda! sam się wyrzekł dobrowolnie tego, czem był.. dziś ma z zakonie imię Benigna... ale przecie słyszeliście o Gniewkowskim księciu Włodzisławie?

Tak! tak! to był... no i jest mój pan. Ja z nim aż za morze pływałem do świętej ziemi i wszędzie, gdzie on był, tam ja byłem. Opuścili go ludzie, on się wszystkich wyrzekł, a mnie sobie wyprosił, że mi przy nim pozwolono zostać w klasztorze i czasem mu posłużyć, choć mnisi sług nie mają.

Tu westchnął.

— Buśka wszyscy dawniej znali, że on księciu bajki prawił i pieśni śpiewał. No i teraz w klasztorze, gdy nikt nie słucha, w wielkiej tajemnicy ja mu czasem starą pieśń półgłosem zanucę...

Dla niego ja w tym przeklętym klasztorze się duszę, bo mi tu jak w więzieniu, i nie wiem, jak książe w nim wytrzymać może... On, co był księciem i panem, a tu lada mnich z nim za pan brat i gorzej, gorzej.

Przyjdzie czasem opat... i, ja tam nie rozumiem, co gada, ale z miny widzę, że nałaje. Książe musi stać, słuchać, z rękami na piersiach złożonemi, ani mru, mru... jeszcze potem przyklęknąć i starego księdza w łapę całować.

Spoglądając ciągle po sobie posłowie nasi po-

rozumiewali się oczyma, ciesząc z tego, że im traf owego Buśka nastreczył, i Wyszota się odezwał.

— Mybyśmy bardzo się księciu pokłonić chcieli.

— A no! czemuż nie — odezwał się ochoczo Buśko — ja i tak muszę zaraz powracać do klasztoru, bo jak bramę zamkną, to nie puszczą, śpij, gdzie chcesz, pod murem. To darmo! Powiem księciu, że panowie są z Polski i chcą go pozdrowić, a jutro rano po nabożeństwie... Opat pozwoli...

— Trzebaż go o pozwolenie pytać? — zapytał Przedpełk.

— A jakże! — rzekł Buśko głową potrząsając. Oni na księcia nic nie zważają, słuchać tu każdy musi...

— I cóż? wasz książę rad ze swojego życia w klasztorze? — podchwycił Wyszota.

Buśko zrobił minę dwuznaczną i chwilę się namyślał nad odpowiedzią.

— Albo ja wiem — rzekł — ja od dzieciństwa księciu służę, a co w nim siedzi, nigdy nie wiem, takim go Pan Bóg stworzył. Są takie dni, że on zupełnie już zdaje się mnichem. Modli się aż jęczy, bije w piersi, płacze, posługi pełni, jak najprostszy człek... a potem... coś się w nim przewróci i narzeka, aż żal nań patrzeć. Czasem piosnkę gdy zaczął nucić, tupnie nogą, rękę

podniesie — Won mi! won mi! precz z tem pogaństwem. We dwa dni woła, drzwi zamyka i prosi — Śpiewaj, zlituj się...

Słucha, oczy zakrywszy, i płacze... Czasem mu pozwalają wychodzić z drugim mnichem na miasto, za mury, gdzie stare drzewa... Spotka jadącego rycerza... to się odprostuje, ogień mu z oczów tryska... inny człowiek... skoczyłby na konia... a nazajutrz... dyscypliną sobie ciało porzeże aż strach...

Byłby może Buśko opowiadał dłużej, gdyby głucho, zdala dzwonek się jakiś nie odezwał. Rzucił się żegnać, szybko mówiąc.

— Powiem panu o was... zmiłujcie się, nie jedźcie nie widząc się z nim... Opat pozwoli...

Pokłonił się wszystkim z kolei, Wyszotę najbliższego w rękę pocałował i jak kula potoczył się, przedzierając przez tłum, a spiesząc z powrotem do klasztoru.

Dopieroż rozmowa się żywa zawiązała o księciu i o tym Buśku, którego sobie Przedpełk przypominał z dawniejszych czasów, że przy księciu błazna, sługi, powiernika i przyjaciela pełnił obowiązki, i że Biały, jak mówiono, niekiedy go bił, a czasami obsypywał łaskami — i obejść się nie mógł bez niego.

Walał się teraz ulubieniec ów księcia w klasztorze między czeladzią, aby swojego pana, któremu lat służył tyle, nie opuścić.

Przedpełk bardzo winszował sobie, iż go spotkali, i wnosił, aby przed księciem z początku o poselstwie nie mówić nic, przyjść jako goście, wybadać go i dopiero, gdy się okaże skłonnym jechać z nimi, wyjawić mu, z czem przybywali.

Wyszota niebardzo się na to zgadzał, rozprawiano długo, naostatek zdano jutrzejsze widzenie się na łaskę Bożą.

— Okaże się, co robić mamy, gdy go zobaczymy — rzekł Przedpełk. Mnie się zdaje, iż łatwo się domyśli, żeśmy tu nie z przypadku zawędrowali, bo tędy żadna droga nie prowadzi tam, kędy my jeździć nawykliśmy.

W izbie powoli przerzedziło się. W jednym jej kącie zostali na nocleg kupcy, jadący z Paryża do Awenionu; w drugim nasi panowie posłowie sobie kazali rozłożyć na ziemi. Na kuchni ogień dogasał, a wkrótce i stróże poczęli obwoływać gaszenie i pilność nocną...

---

## II.

Cela była dosyć obszerna, z oknem jednym na ogród wychodzącem. Znać w niej było, że na ród i pochodzenie tego, który się w niej zamknął, pewien wzgląd miano. Ale reguła, której zwłaszcza z nowicyuszami trzymać się musiano, nie dozwalała zakonnikowi więcej mieć nad jedną izbę, ani w niej sprzętu wygodniejszego nad pospolity klasztorny.

Łóżeczko twarde stało w jednym rogu, a przy niem klęcznik z ukrzyżowanym; u okna był stół okryty, na którym kilka ksiąg leżało, lampka włoska i drobnostek kilka z pobożnemi godłami.

Na jednej ze ścian, na tle złotem odmalowany św. Benedykt modlący się, miał mnichowi przypominać jego powołanie.

W pośrodku izby tej zrana nazajutrz stał słusznego wzrostu mężczyzna, zbudowany silnie,



szérokich ramion, w czarnym habicie zakonników św. Benedykta. Twarz jego piękna, blada, z postrzyżonym włosiem jasnym, z ram tej sukni mni-szej wychodziła, malując się wyraziście na szarem tle murów celi.

Rysy jej regularne, oczy niebieskie duże i wydatne, czoło wyniosłe, usta zapadłe i ściśnięte, stanowiły fizyognomię uderzającą wyrazem, charakterem niełatwym do odgadnienia, lecz wcale z suknią i powołaniem zakonnika niezgodnym.

Namiętności gwałtowne całe to oblicze zmęczyły i porysowały niezatartymi śladami przejścia swojego. Coś po nich zostało niespokojnego, podrażnionego, nieokiełzanego jeszcze. Czasem, gdy czoło i oczy już się zdawały ukołysane i rozpo-godzone, w ustach poruszających się i krzywią-cych jak gdyby gorycz je struła, ból, ironia, gniew burzyły się niepohamowane.

Białe, z długimi kościstymi palcami ręce, to habit na piersi targały, to się przesuwwały po czole dumnem, to zaciskały się namiętnie. Chodził, stawał, przysłuchiwał się.

Być może, iż w ten stan podrażnienia wpra-wiła go wczoraj przez Buśka przyniesiona wia-domość, iż jacyś polscy panowie przybyli do Dyżonu, i że się dawnemu księciu, dziś mni-chowi, pokłonić chcieli.

Usłyszawszy to Biały, rzucił się poruszony i przejęty.

— Jaktó! — zawołał, — więc tam jeszcze nie zapomniano o mnie? Wiedzą? znają? pamiętają?...

Buśko od rana czatował przy bramie, aby tych gości pożądaných wprowadzić; dano mu rozkaz taki. Opat był uwiadomiony. Nie obawiał się on i nie domyślał nic, nie sądził, aby potrzeba było wzbraniać księciu pociechy widzenia ziomków swoich.

Może pamięć na to, iż zbytnia surowość Cystersów wygnała go ztamtąd, czyniła opata łagodniejszym.

Posłowie zrana przyodziawszy się pięknie, poszli do katedry wysłuchać mszy świętej, i dopiero po niej stawili się u furty opactwa.

Buśko tak nędznie przyodziany jak wczoraj, już tu na nich oczekiwał. Wprawdzie brat Izydor był wyznaczonym, aby przy odwiedzinach jako świadek się znajdował, lecz nie spieszono mu dać znać, gdyż język, w którym rozmowa się toczyć miała, bytność jego czynił zbyteczną.

Posłowie, których starszy Przedpełk prowadził, z Lasotą razem weszli na próg celi, niskim ukłómem witając księcia.

Gdy ich zobaczył, na bladą jego twarz na chwilę rumieniec wypłynął, oblał ją całą i zniknął. Księżę stał nie jak mnich, ale jak Piast, który swych wiernych ziemian przyjmuje. Jedną ręką o stół oparty, postawę miał prawie dumną.

Po przywitaniu niecierpliwy książę sam ich, nie czekając, zagadnął.

— Cóż wy tu macie do czynienia? jakie was tu losy zagnały?

Wyrazy te wymówił po polsku, ale w ich dźwięku i pewnym przymusie a zająknieniu czuć było, iż się od mowy tej odzwyczaił, że mu przychodziła z trudnością. Na nim samym uczyniło to przykre wrażenie, spuścił oczy.

— Długo by o tem mówić miłości waszej, — rzekł Przedpełk, — jakieśmy się tu do obcego kraju dostali... ale raz już będąc w Dywjonie, chcieliśmy naszego Piasta nawiedzić i pozdrowić.

Twarz księcia pofałdowała się nagle.

— Piasta? — podchwycił, — Piasta? Nie ma tu już, pod tą suknią (potrząsnął mocno habitem, jak gdyby go chciał poszarpać), nie ma tu już ani Piasta, ani księcia, ale biedny sługa Boży, brat Benignus...

Skończył ciężkiem westchnieniem. Oczy jego pobiegły żywo po przybyłych, szukając znajomej twarzy, czy jakiegoś przypomnienia.

— Z kraju, z Polski jedziecie! — zawołał, — co słyszeć? Jak tam siostrzan mój, tak — boć siostrzenicę moją Ludwik poślubił — rządzi się u was, radzi mu jesteście?

— Król Ludwik wcale u nas nie rządzi, — przerwał Wyszota, — nie ma na to czasu. Więcej pono zajęty Włochami, Neapolem i Węgry...

niż Polską... Królowa stara u nas panuje za niego...

Ton, jakim to wymówił, więcej znaczył niż słowa.

Księżę zrozumiał go, pół uśmiechu gorzkiego przebiegło mu po ustach.

— A w Gniewkowie, w Złotoryi, kto siedzi?— spytał.

— Starostowie, — odparł Przedpełk, — księstwo wasze na króla idzie.

Ręka księcia, sparta na stoliku, zadrgała.

Przedpełk patrzył nań jak w tęczę, badając wyraz twarzy i wrażenia przechodzące po niej, których ukryć nie umiał.

Czas jakiś milczeli wszyscy, Lasota się zebrał na odwagę.

— Muszę miłości waszej, — rzekł, — pozdrowienie oddać od starego Bodeczy z Drzdenka, widziałem go i rzekł mi: A gdybyście tam księcia mojego Władysława spotkali, pokłon mu oddajcie i mówcie, że my go nie zapomnieliśmy i tęsknimy za nim.

Księżę cały zwrócony ku mówiącemu, zdawał się chciwie połykać te słowa. Zarumienił się, rękę do piersi przyłożył.

— Pocziwy Bodeza stary, — zawołał, — gdym najnieszczęśliwszy był po stracie żony, on jeden żał dzielił ze mną i w jego domu najmiłszą miałem gościnę...

— Córka też jego, Fryda, — dodał Lasota, — miłości waszej ukłon zasyla.

Rzucił się mnich i krok cofnął, brwi mu się zmarszczyły.

— Fryda Bodeczanka, — rzekł głosem zmienionym, — ależ ta... dawno być musi komu poślubiona? Kto jej mężem?

— Nie ma męża, — odparł Lasota. — Mówią, że wielu możnych rycerzy, pomimo nalegania ojcowskiego, odmówiła. Dziewicą pozostała dotąd... a, co dziwniej, tak jeszcze gładką jest i wydaje się młodą, jakby nie miała więcej lat dwudziestu.

Ksiązę spuścił oczy i gryzł wargi, rozmowa ta widocznie przykra mu była.

Przedpełk, Szczepan, Wyszota milczeli, zdawszy rozmowę na Lasotę, który, jak się im zdało, zręcznie nią pokierował, wedle ich myśli.

— Stary Bodecza, — dodał Nałęcz, — choć wiedział, że miłość wasza wdzieliście suknię zakonną, wszelako, jak uważałem, całe nadziei się nie zbył, że miłość waszą zobaczy u nas... Mamy przecie benedyktyńskie klasztory...

Biały cofnął się aż do okra, i wnet znów ku posłom się zbliżył.

— Radbym być jak najdalej, najdalej od was, — począł namiętnie, — aby przeszłość zapomnieć, bo ona wrócić nie może.

— Jako? jako? — wtrącił żywo Przedpełk. — Bóg jeden wie przyszłość. Król Ludwik, jak nasz

nieboszczyk Kaźmirz, męskiego nie ma potomstwa, a królestwo nasze nie pójdzie po kądzieli. Nie! Będziemy mu może Piasta szukać musieli!.. Kto naówczas wie?

Biały z obu stron habit swój pochwycił i począł nim trząść.

— Ta suknia, kto ją raz włożył, do ciała przyrasta! — zawołał. — Nie można jej zrzucić..

— Przebacz mi miłość wasza... — odezwał się Wyszota, — Ojciec święty, zastępca Chrystusa na ziemi, może ze ślubów zwolnić i rozwiązać. Mielśmy tego przykład na Kaźmirzu, na Mnichu, który tak jak miłość wasza, w zakonie św. Benedykta śluby złożył.

— Nie mąćcie mi spokoju, — przerwał gwałtownie książę, — pokusami temi. Światam się zdradliwego i znikomego raz wyrzekł... Kusicielami nie bądźcie...

Przedpełk zwolna krok naprzód postąpił — rola mu się zdała przygotowaną, — i czyniąc pokłon, odezwał się.

— Otóż czas miłości waszej wyznać prawdę całą. W istocie kusić przybyliśmy, ale nie z własnej naprawy, tylko od ziemi naszej wielkopolskiej, utrapionej wielce, upokorzonej, nieszczęśliwej. Pana potrzebujemy, Piasta chcemy... na waszą miłość oczy się obróciły.

Wielkie swe niebieskie źrenice książę wlepił w mówiącego, zdziwiony, przełękły, zmieszany,

drżący. Gdy Przedpek umilkł, on odpowiedzieć nie mógł. Słysząc było oddech przyspieszony, dyszenie ciężkie.

— Coście rzekli! — począł cicho, — coście rzekli!!.. Ślub mój wiąże mnie jak kajdany, a iść tam, znaczyłoby to przeciw siostrzeńca, przeciw koronowanego króla... Nie godzi mi się.

— Papież rozwiąże sumienie... — rzekł Wyżota.

— Mylicie się, — odparł Biały. — Ojciec święty we francuskich jest rękach, andegaweńskiemu domowi oddany...

— Na dziś jeszcze o porywaniu się przeciw niemu, — rzekł Przedpek, — mowy nie ma. Tymczasem książębyś swoją dzielnicę odzyskał, gdy i Każko Szczeciński ją dostał, i Włodek Opolski wziął też na Rusi... Potem, gdyby godzina wybiła...

Książę uszy sobie zatknął. Na twarzy jego przestraszył się malował i wzruszenie nadzwyczajne, drżał cały.

— Szukałem tu spokoju, — zawołał, — w tych murach, zdala od kraju, gdzie mnie żaden głos z niego dojsć nie mógł. Żywy zamurowałem się w ten grób, a wy mnie z niego wyciągnąć chcecie, abym z mnicha stał się znowu pospolitym grzesznikiem, i duszę zgubił...

Precz odemnie kusiecie!

Odwrócił się, posłowie stali nieruchomi.

— Grzech miłości waszej, — odezwał się Wyszota, — my rozbierzemy na siebie, niech tylko miłość wasza prośb nie odrzuca. Piasta nam potrzeba, aż tuśmy za nim przyszli; nie godzi się odpychać, co i z prawa i z widomej łaski Bożej na was spływa. Mnichów, coby chwałę Pańską głosili, dosyć jest, a krwi Piastów nam braknie.

Książę to uszy zatykał, to słuchał, rzucał się w tym szczupłym kącie między stołem a oknem, to cofając, to podchodząc, łamiąc ręce i uciskając piersi.

— Dość, — rzekł, — dość... na teraz już, proszę was, dosyć tej mowy. Dajcie mi się rozmyśleć, Bożego wezwać natchnienia, Ducha świętego pomocy.

Idźcie z Bogiem... czekajcie... wezwę was...

Przedpełk dał znak towarzyszom; on sam i oni mieli pewne politowanie nad nieszczęśliwym księciem, który był zmęczony i poruszony straszliwie. Pot kroplami występował mu na czoło, chwiał się na nogach, chwycił za stół.

Nie mówiąc nic, stąpając ostrożnie, posłowie zaczęli iść ku drzwiom. Pierwszy, co je powoli uchylił Lasota, spłoszył od progu przytulonego uchem do drzwi Buśka, który odskoczył jak oparzony i pędem zbiegł w drugi koniec kurytarza.

Nie przeprowadzani już przez niego, zadumani, trochę smutni, wszyscy wysunęli się z klasztoru z bardzo różnemi myślami i domysłami.



— Nie będzie z tego nic! — zawołał za furte wychodząc Szczepan z Trłaga.

— Któż ci to powiedział? — ofuknął Wysota. — Owszem! Przysiądзем gotów, że się rozmyśli... Gdyby nie chciał, nie kazałby nam czekać... dałby odprawę i zakazał powracać.

— A gdyby ją nawet dał, — wtrącił Przedpełk—jałbym go nie posłuchał i kusił powtórę, po trzecie... Owszem, jam dobrej myśli... weźmiemy go...

— I ja też tak sędzę, — dodał Lasota. — Uśmiechnie mu się swoboda... Mówił, że suknia przyrasta; znać mu cięży. Gniewków jak Gniewków... nie skusiłby, ale więcej się czegoś spodziewać będzie.

Gwarzyli tak powracając do gospody, gdy Buśko, ledwie ochłonawszy ze strachu, bo go na uczynku podsłuchu schwytano, zawrócił się, podbiegł znowu podedrzwi celi, postął chwilę przy nich, przeciągnął się i otworzywszy je wśliznął ostrożnie do środka.

Książę klęczał przy łóżku zatopiony w modlitwie, z głową spuszczoną, a rękami nad nią wyciągniętymi. Słyszał czy nie, gdy się drzwi otwierały, nie poruszył się, nie obejrzał — modlił się. Ze znużenia na duchu, osunął się zwolna ku ziemi i przysiadł... Modlitwa skończyła się zadumą głęboką.

Buśko stał i śledził każde poruszenie, którego znaczenie, długi pobyt przy księciu, nauczył go tłómaczyć.

Po pewnym przeciągu czasu, Biały powstał nagle, odprostował się, przybrał postawę niewłaściwą mnichowi, ujął się w bok i spoglądając ku drzwiom, zobaczył Buśka, który zdawał próbował mu się uśmiechać. Nie odważył się jeszcze go zagadnąć.

Ksiązę, którego podpatrzył wśród walki dusznej, groźnie nań patrzył.

— Paneczku! paneczku! — cicho począł od progu Buśko. — A co? a co? nie dobrych ja wam gości przyprowadziłem? Oni nas ztąd chcą zabrać! Jak Bóg miły, dobrzeby to było! ach! dobrze! Skończyłyby się nasze męki... Wrócilibyśmy panować do Gniewkowa.

Co panu Bogu po nas, kiedy my się do tej służby nie rodzili, ani ksiązę, ani ja... Jabym wolał drwa rąbać w czystym polu... tu więzienie i niewola... Lada gbur przewodzi księciu, a mnie lada kleryk w kark tłucze i obchodzi się jak z bydlęciem, dlatego, że ja po łacinie nie umiem.

Złożył ręce.

— Paneczku... jedźmi z nimi! Popróbnjmy szczęścia.

Klasztor — no klasztor, kiedy już koniecznie ma być, to choć tam, w tej ziemi, gdzie nasi ludzie, a tu...

Ksiązę marszczył się, słuchając.

— Milczże mi! — zawołał.

Począł się po izbie przechadzać.

— Gdybym i chciał, nie puszcza mnie ztąd, — począł na pół do siebie, w pół do Buśka, przy którym zwykł był mówić, co mu na myśl przychodziło. — Pokazują mnie tu jak kość wielkoluda, co wisi w kruchcie, za osobliwość gościom swoim, chlubią się, że mają krew królów polskich w zakonie.

Musiałem porzucić Cystersów... jeżeli od Benedyktynów ujdę, co powiedzą ludzie?

— Paneczku, — żywo przerwał Buśko — a niech oni sobie tu gadają co chcą, my ich ztąd słyszeć nie będziemy.

Kiedy po nas te pany przyjechały, — jedźmy! jedźmy!

Ksiązę milczał. Ośmielony Buśko zbliżył się do niego.

— Niech paneczek przypomni, — rzekł cicho, — te dni straszne, kiedy mu habit cięży i piecze, kiedy w nocy zasnąć nie można, bo się Gniewków śni i Polska śni... Wiele to razy chcielibście boso bodaj i o kiju się ztąd wyrwać? albo tak nie było? albow ja nie słyszał i nie widział?

Lepiejże z niemi teraz jechać, niż gdy ich nie będzie, jęczeć i żałować.

Ksiązę spojrzał nań pogardliwie, gniewnie,

lecz nie odpowiedział nic — uczuł słusność uwag tych błazna swego.

Przed wieczorem Buśko posłany do gospody pod Złotą Tarczę, nazad z sobą jednego tylko Przedpełka prowadził. Księżę chciał z nim mówić sam na sam.

Stawił się powołany. Zastał Białego po walce odbytej, po rozmyślach, po wewnętrznych z sobą samym rozterkach, uspokojonym na pozór.

Zobaczywszy wchodzącego Biały, podszedł uprzejmie ku niemu i odezwał się, jakby naprzód był przygotowany do tego.

— Rozważyłem, coście mi przynieśli. Nie mówię ani tak, ani — nie. Mnich, złożywszy śluby, wyrzekłem się woli własnej, nie władam sobą. Mówcie z opatem... poddany mu jestem...

Przedpełek pomyślał mało.

— A jeżeli opat pozwolenia odmówi?

Biały zamilkł. — Milczenie było znaczącem. Przedpełek je wolał, niż odpowiedź.

— Dziś mam mówić z opatem? — zapytał.

— Dziś lub jutro, — odparł księżę. — Pora wieczorna może mniej właściwa, dziś ja go uprzedzę o przybyciu waszem, nie mówiąc, z czem przyjechaliście, jutro was przyjmie.

Stary poseł mało co już więcej mógł dobyć z księcia dnia tego; pożegnał go i wyszedł. Buśko, który wszystko podsłuchiwał i namiętnie

śledził ruch każdy przybyłych, pobiegł w ślad za Przedpełkiem do furty.

— Z opatem będziecie mówili? — począł szeptać. — O! o! to bardzo kuty człek i wielka potęga... Ludzie przed nim drżą, myśli zgaduje, a srogi jest... ale... (tu głos zniżył) klasztor potrzebuje wiele... łakomi są, podarkiem wiele zrobić można...

Oczyrna dał znak i zniknął.

Przedpełk powróciwszy do swoich, opowiedział, z czem go odprawiono. Do opata sam iść nie życzył. Więcej powagi miało poselstwo całe, a i rozmowa, którą trzeba było prowadzić po łacinie, lub z pomocą Lasoty, jako tłumacza, bo ten język francuzów trochę umiał — łatwiejszą być mogła.

Znowu więc na mszę świętą ranną przybywszy, wszyscy w strojach swych paradnych, z niej wprost się udali do klasztoru.

Tu już na nich oczekiwać musiano, i zakonnik od furty krążgankami sklepieniem powiódł ich do izb, w których opat uroczyście zwykł był gości przyjmować.

Gmachy te ozdobne wielce, pełne rzeźb i malowań, okryte godłami i napisami, wspaniałością swą musiały na przybyłych wielkie uczynić wrażenie. Nawet ozdobny zamek krakowski, który za cudo uchodził, nie mógł się równać benedyk-

tyńskiego klasztoru wytwornemu budowaniu i misternemu przyozdobieniu.

Opat Zacharyasz, rodem z południowej Francji, mąż wielkiego ducha, rozumu i nauki, którego nieraz do rady Walezyusze wzywali, osobą swoją mógł też wrazić poszanowanie.

Księżęca była postać, dumna, piękna, a przytem dziwnie pogodna i siłą a energią imponująca.

Z nadzwyczajną uprzejmością, ale z majestatem biskupim, przyjął gości, twarzą wesolą, wzrokiem ciekawym.

Ponieważ rozmowa była trudną po łacinie, Lasota jako orator wystąpić musiał.

W krótkiej przemowie swej wyraził, że kraj, z którego przybywali, tęsknił, pozbawiony panujących krwi swej, za potomkami rodu, z którym go wieki wspólnego życia łączyły. Z tego powodu, chcieli odwiedzić księcia, a zarazem radziły go mieć u siebie, choćby w którym benedyktyńskim klasztorze.

Dodatek ten uczynił Lasotą, aby złagodzić nieco żądanie, z którym przychodzili.

Opat w odpowiedzi ostrożnej, pochwalił przywiązanie do swych monarchów, ziemi im wiernej, lecz zarazem ubolewał nad tem, iż mnich każdy, zerwawszy ze światem, już żadnym względem spraw świeckich ulegać nie może.

Na to Lasota przygotowany, odpowiedział

przykładem Kazmierza Mnicha i odwołał się do władzy nieograniczonej papieża.

Opat zmarszczył się nieco... Rozmowa splątała się. Lasota wyczerpał argumenta przygotowane. Posłuchanie przedłużało się nadaremnie, gdyż ze wszystkiego widać było, że opat ani się chciał dać przekonać, ani nawet wdać w rozprawę.

Począwszy rozmowę wesoło, zakończył ją równieź uprzejmie, pobłogosławił, dał rękę białą ucałować, i z niezem odprawił.

Wyszedszy, dopiero postrzegli iż z daleko mocniejszym od siebie mieli do czynienia, z człowiekiem co ich odgadywał, zbijał to, czego jeszcze nie powiedzieli i przełamać się dać nie myślał.

Od opata zaszli do księcia zafrasowaniu. Biały przyjął ich pogrążony, smutny, niespokojny. Mogli tylko postrzedz po nim, że opór przełożonego podzielał nań, jako bodziec...

Mówił już o możliwości swego wyjazdu, jakby o rzeczy postanowionej i tylko od zgodzenia się Opata zależnej. Wielki więc krok dokonał się — dziwnym sposobem, z łatwością nie spodziewaną.

Pozostawało wyjednanie przyzwolenia Opata... Zgodzono się na to, aby doń wysłać Lasotę, który podjął się tego...

Cały dzień upłynął na przygotowaniach, naradach, wywiadywaniu się ubocznem o różne szczegóły.

Lasota nazajutrz z pokorą młodego człowieka ale z wprawą dworaką, który na świecie bywał i z ludźmi mówić umiał—stawił się przed Opatem.

Nie miał jego przebiegłości i nie myślał też nią walczyć z nim... Począł mu się wynurzać otwarcie, dając z siebie dobywać wszystko co miał powiedzieć. Był szczerym i naiwnym.

Opatowi się podobał, zatrzymał go dłużej. Rozmowa zamiast pół godziny, trwała dwie całe...

Oczekujący na powrót jego w gospodzie pod Złotą tarczą, niespokojni być zaczęli, gdy uznajony parlamentarz ich, nareście z dosyć wesołą powrócił twarzą.

Było to tajemnicą Lasoty, w jaki sposób zdołał wymóżyć na Opacie pozwolenie dla księcia aby się udał do Ojca św. do Awinjonu i tam przedłożył mu żądanie swoje.

Chociaż więc nie tryumfowali jeszcze... krok był znowu uczyniony stanowszy, a ważność jego oceniliby lepiej, gdyby byli wiedzieli co się w klasztorze działo.

Po odprawieniu Lasoty, Opat wezwał do siebie Białego...

Nikt nie był świadkiem ich rozmowy, która trwała długo — lecz, gdy u drzwi czekający Buśko zobaczył swego pana wychodzącego, pomimo otyłości swej poskoczył.

Księżę wybiegł na korytarz zmieniony, z twarzą jasną, rozpromienioną, zapomniawszy tych ru-



chów powolnych i pokornych, do których nawyknienie w klasztorze tyle go kosztowało. Krokiem pospiesznym pobiegł do celi.

Tu było mu ciasno, było mu duszno... śmiał się, chodził... Buśka poklepał po ramieniu.

— Jedziemy! rzekł...

Wysłał go do gospody oznajmić tam, aby mu konie i co potrzeba do podróży przysposobiano. Gdyby to było możliwem, — wyjechałby natychmiast, lecz wyjazd odłożono do jutra, czekając na listy, które Opat miał kazać wygotować; na towarzysza, którego chciał dać księciu; na przygotowanie do podróży.

Buśko, który księcia nie opuszczał nigdy, rozumiało się to samo z siebie, sposobił się też do wyjazdu, nie kryjąc z radością swoją.

Jakkolwiek ciężko mu było usiedzieć na koniu z jego krótkimi nogami, a droga od której odwykł, była dlań okrutnie męcząca, cieszył się z wyzwolenia.

I na księciu widać było odżywienie jakąś nadzieją.

Wczoraj jeszcze mnich, dziś przybrał postawę, ton i oblicze książęce...

Przedpełk i towarzysze jego, mocno się tém radowali, bo obudzenie w nim rycerskiego ducha rokowało wiele.

Do dnia, po nabożeństwie i błogosławieństwie Opata, Biały wraz z towarzyszem swym Mni-

chem, któremu listy do Papieża powierzone były, w orszaku polskim zawrócił ku Awinionowi.

Gdy na pagórek wyjechali, z którego Diżon i jego kościoły widać było, Buško, na końcu kawalkaty jadący, odwrócił się ku miastu, zdjął czapkę z głowy, pokłonił mu się i pożegnał je...

— Bogdajby oczy moje więcej murów waszych nie widziały... tylko wina trochę żal będzie...

Z jakim uczuciem żegnał Biały ten klasztor, w którym czas jakiś pokoju zażywał — nikt, nawet towarzysz odgadnąć nie mógł. Płakał chwilami i śmiał się, zasepiał i rozmową wcale nie mniszając zabawiał z Lasotą, który więcej mu mówił o pięknej Frydzie Bodeczance, o łowach w okolicy Gniewkowa, o rycerskich zabawach, niż o tym żywocie zakonnym, z którego obowiązków ksiązę nie był wyzwolonym jeszcze.

---

### III.

Dwa całe lata upłynęły od téj chwili, gdy polscy posłowie Władysława Białego uprowadzili z opactwa Św. Benigna, a ani w Gniewkowie o nim, ni w Wielkopolsce słyhać nie było.

Oczekiwano go też napróżno z powrotem do klasztoru. — W Awinjonie papież Grzegorz XI, francuz rodem, dla dynastyi panującej we Francyi wylany, z którą tak blisko spokrewnionym był Ludwik Węgierski — prośby Białego Księcia wysłuchać nie chciał. Próżne były nalegania i zabiegi, przewidując zawikłania, jakie sekularyzacya księcia mogła na Polskę ściągnąć, — Grzegorz XI stanowczo się oparł uwolnieniu od ślubów.

Posłowie polscy napróżno tu oczekiwali zmiany — Biały oświadczył im, że dłużej w Awinjonie pozostanie i odprawił do Strasburga jednych,

drugich do Bazylei, tam się z niemi obiecując połączyć. Miał bowiem nadzieję zawsze, iż Papieża ubłaga.

Minał tak czas jakiś.

Księżę na koniec znużony, wykradł się tajemnie z Awinjonu z jednym podobno Buškiem, i choć od ślubów uwolnionym nie był, suknię zrzuciwszy, w stroju jakimś podróżnym, na pół rycerskim, z mieczem u boku zjawił się oczekującym.

Lasota chciał go z sobą do Polski pociągnąć... Była jakaś nadzieja, że się może da skłonić do tego.

Potem jednego poranku, nie opowiedziawszy się nikomu, księżę uszedł, zostawując list tylko, iż musi wprzód udać się na dwór króla Ludwika.

Nagonił go uchodzącego Lasota, pragnąc zawrócić, lecz nie mogąc dokazać tego, sam się poświęcił i musiał z nim jechać do Budy.

Od tej pory, ani o księciu, ani o Lasocie słychać nie było.

Przedpełk ze Staczowa, Szczepan z Trłaga, Wyszota z Kórnika powrócili do domów, z narzekaniem wielkiem na niestałość umysłu człowieka, który gorączkowo chwycił myśl każdą i wkrótce ją równie namiętnie odpychał.

Niewiele było można rachować na charakter taki, którego wybryków i zmian nagłych obliczyć nigdy nie było podobna.

W ostatniej swej rozmowie z posłami, on, co ich, jadąc do Awinjonu śmiałością swych pomysłów zadziwiał, co marzył już o zdobyciu korony i przypominał im Łokietka — niespodzianie — nagle, zmienił zupełnie plany swoje.

— Niech mi mój Gniewków oddadzą — wołał nie chcę więcej nic... Potrzebuję spoczynku — przyjaciół dosyć nie mam, zapomniano o mnie, porywać się nie chcę na to, czego niedokonam... Ludwik mi Gniewków oddać musi.

Z tą już myślą, nie daleko sięgającą, Władysław pojechał do Budy.

Dwa lata upływało, w Polsce się go przestano spodziewać. Dochodziły wieści, że książę w Budzie, na łasce siostrzenicy siedział, nie u Ludwika nie mogąc wyprosić, nawet małego Gniewkova.

Wstawiała się za nim królowa napróżno — Ludwik go lekcewał i śmiejąc się żartobliwie, mówił mu:

— Mniczem jesteś — dam ci tu na Węgrzech opactwo w lasach, abyś miał gdzie polować i skryć się w gąszczach, gdy ci klauzura dokuczy.

Wierz mi, to dla ciebie lepsze od Gniewkova, gdzie ci ludzie głowę zawracać będą, a ty powolny im, głupstwa możesz robić... Żal mi cię... Bądź na Węgrzech Opatem...

Mówiono też, iż Władysław jak Opatem być nie chciał, tak i o ślubach zakonnych, od któ-

rych uwolnionym nie był — zapomniał. Suknię zrzucił samowolnie, nosił się po świecku, włosy zapuścił, miecz przypasał, i do panien dworu młodej królowej Elżbiety się przysiadł.

Lecz fantazje te u niego nie były trwałe.

Czasem dosyć było głosu dzwonka, na drodze otwartych drzwi kościoła, rozmowy z zakonnikiem, by nagle napadła go skrucha. Zaczynał pokutować, modlić się, mówił niespokojny o powrocie do celi, dopóki piosenka Buśka, i nowi towarzysze z tej drogi go nie sprowadzili.

Buśko, choćby był rad do Gniewkowa wrócić, z którego był rodem, godził się z losem jaki ich spotkał w Budzie. Wino węgierskie przypominało mu Chenove i Vosne, choć czasem żałował Pomard'a; a o panu swym wyrażał się podpiwszy, że on takim umrze jakim żył, na pstrym jeżdżąc koniu.

W wielkiej Polsce w inną stronę Nałęczę zwracali oczy. Nie rozpaczano, że się Mazowieccy do czegoś skusić dadzą.

Tymczasem Otto z Pilcy, sam się zrzekł wielkorządów, na których usiedzieć nie mógł. Doradzczy królowej Elżbiety przekonali się, iż Wielkopolsce dać potrzeba było wielkopolanina.

Mianowano w miejscu jego Sędziwoja z Szubina, którego przyjęto, ciesząc się nim, jak otrzymanem nad małopolany zwycięstwem.

Było to wczesną a najbrzydszą wiosną 1373

roku.—Dersław Nałęcz, któremu starania o pozyskanie jednego z Piastów nie powiodły się — siedział w swej Wielkiej Wsi, mniej teraz ogólnemi zajmując się sprawami.

Całą pociechą jego było słuchać obfitych plotek o rozmaitych niepowodzeniach króla Ludwika i starej królowej.

Cieszyło go niepomieranie, gdy narzekania na ich rządy słyszał, a żale po Piastach.

Cała też niemal Wielkopolska, choć nie nie mogła przedsięwziąć, aby się z pod obcego, jak mówiono, panowania wyzwolić — toż co Dersław myślała i czuła. Była nieprzejednaną, była niechętną, najmniejsza zręczność mogła tu wybuch spowodować.

Dersław miał zwyczaj mówić i powtarzać z tą jakąś pewnością proroczą, którą czasem przybierają ludzie starzy.

— Zobaczycie! zobaczycie! ja powiadam wam, nie umrę, aż znowu Piasta zobaczę na tronie. Wróci nasza krew, powróci!

Śmieli się z niego niektórzy, ramionami podrzucali, inni słysząc go z taką stanowczością powtarzającego zawsze jedno, gotowi byli mu uwierzyć.

I wielu w Wielkopolsce powiadało naówczas.

— Dersław Nałęcz, ciągle prawi że nie umrze, póki znowu na tronie Piastów nie zobaczy.

Ludzie wierzyli w powrót starego pańskiego

rodu, choć nikt go sobie nie umiał wytłumaczyć, ani się domyślał, jak to przyjdzie.

— Pan Bóg wszechmocny! Bóg czyni cuda! powiadano. — Czemuby nie miał nam Piastów powrócić.

Jednego dnia tej brzydkiej wiosny 1373 roku, Derśław gniewał się po szlachecku na Pana Boga, na deszcz, na zimno, na wiatr, które mu z domu nie dawały wyruszyć.

A siedzieć w domu z synem i żoną samemu, bez nadziei, żeby kto w pluchę taką przywiózł plotkę, bez możności wybrania się po nią w sąsiedztwo — Derśław nie lubił. Gryzł się tą nudą tak, że i jeść nie mógł i wszystkich łajał a gderał.

W tem, gdy raz jeszcze zrozpaczony wyglądał przez małe okienko w podwórze, ujrzał z podziwieniem wielkiem przed oknem samem, łeb koński, a na łbie tym bardzo sobie dobrze znane rzemienne z mosiądzem ozdoby, których, choć od wielu lat nie widział, był pewnym że je u Lasoty pamiętał.

A tego nieszczęsnego Lasoty już lat przeszło dwa nie było, bo się do Białego przywiązał i z nim pozostał.

Derśław natychmiast wypadł do sieni i tu mu do kolan się pokłonił obmokły Lasota, na którego twarzy trudów długiej włóczęgi nie bardzo znać było. Wyglądał zdrowo, tylko się na Węgrzech opalił.



— A ty tu co robisz, niewierny człeczko? — zawołał wesoło Dersław, ściskając go.

Lasota palec na nstach położył, znać dając, że podróż jego miała cel jakiś tajemny. Weszli do izby. Tu, dla powitania ulubionego powinowatego zaraz się zbiegli wszyscy, stary Dersław zauważył, że szczególnie córka Piotruszka, rumieńcem i uśmiechem przyjaznym przyjęła gościa. Nie w smak mu to było.

Przed rodziną Lasota o powodach przybycia swojego nie powiedział nic nad to więcej, iż mu się do nich stęskniło, ale Dersław dobrze wiedział, iż coś ukrywać musi.

Poszli więc we dwu do komory starego.

— Co się z tym szalonym księciem stało? — zapytał Dersław.

Nałęcz ruszył ramionami.

— Ba—rzekł—szalonym go zowiecie, a jabym chciał w nim trochę więcej szaleństwa, a mniej rozmysłów. Dotąd, oto już lat dwa siedziemy w Budzie, prosząc się do Gniewkowa. Królowa nas zwodzi, obiecuje, męża męczy, a Ludwik się w oczy Białemu śmieje, do klasztoru go pędząc. Ani mnich, ni świecki człek, to habit przywdziewa, to zbroję, to się myśli żenić, to chce pokutować...

— Niech że go... — przerwał zniecierpliwiony Dersław — nie mów już o nim...

— Właśnie muszę — odparł Lasota, bo choć

tak rzeczy dotąd źle stały, nareście mu się uprzykrzyły obietanki próżne — przekonał się, że królowa nie może nic, a król nie chce. Pogniewał się na Ludwika... gotów siłą iść zdobywać, choć swą dzielnicę.

— To dobrze — krzyknął Dersław — to dobrze, gdy Gniewków weźmie, o co, spodziewam się, będzie łatwo—ochoty nabierze i do dalszych zdobyczy. Zadarłszy się z królem... naszym się stanie.

— I ja tak sędzę — rzekł Lasota — alem ja z tem do was przybył, abyście mu dali o czém i z kini się wydobyć z Budy.

Oprócz Buśka, który mu piosenki śpiewa i nedorzecznosci prawi, niema nikogo. Królowa mu skąpo daje na utrzymanie, król umyślnie morzy go, aby opactwo wziął i nie bruździł mu.

Trzeba grosza i trzeba ludzi. Wielu ich przyprowadzić nie można, bo by to oczy zwróciło, choć kilku mieć musi, aby nas lada zbój na drodze nie odarł.

Dersław potarł włosy.

— A no — zawołał — jak tylko deszcz ustanie, który przecież wiecznie padać nie może, trzeba do Przedpełka, Szczepana i Wyszoty się udać... Oni coś obmyślą.

Deszcz w istocie ustał nazajutrz, a choć pora była jeszcze chłodna i wietrzna, Dersław wyru-

szyl z Lasotą, po dworach tych ziemian, którzy dawniej Białego chcieli.

Ale tu — znalazł zrażonych, narzekających nań, zniechęconych i Lasota miał wiele z nimi kłopotu, nim ich nawrócić potrafił. Przedpełk sam jechać już nie chciał, wybrano trzech młodzieży, złożono trochę grosza. Lasota się ofiarował prowadzić.

Pomimo roztopów wiosennych, ruszyli zaraz na Węgry, znanemi gościńcami, któredy od Krakowa handel szedł.

Do Budy samej wszystkich ich nie przyprowadził ostrożny Lasota, zostawił w pierwszej wsi pod miastem, gdzie miał znajomego węgry, który z Krakowem kupczył.

Sam, jak znikł był jednego dnia niepostrzeżony ze dworu króla Ludwika, tak nieznacznie się na nim zjawił.

Nie było w tem nic dziwnego, gdyż dla spraw włoskich, dla stosunków swych z całym światem, węgierski król otoczony był nieustannie przybyszami ze wszystkich stron Europy.

Dwór był świetny, liczny, ożywiony, a że się tu sprawy wielkiej wagi ciągle układały — nie bardzo na ludzi pomniejszych zważano.

Biały książę, którego jedna tylko królowa siostrzenica miała w opiece, bardzo podrzędne na dworze zajmował stanowisko.

Niekiedy tylko Ludwik, który uczonych lubił,

naukę cenił, a w powinowatym trochę więcej jej znajdował, niż w pospolitych ludziach otoczenia swojego, zagadywał ks. Władysława o różne kwestje. Ten, choć wiele wiedział, słyszał i czytał, najczęściej go niecierpliwił tём, że małeńkiej nauki swej zaraz chciał zażywać dla okazania swej wyższości nad królem.

Tak w kwestji, która Ludwikowi na sercu leżała — w sprawie sądów Bożych, Ordaljów — które on chciał u siebie znieść i dowodził ich niewłaściwości, książę Biały upierał się broniąc instytucji tej, jako przez kościół uznanej.

Król Ludwik utrzymywał, że Boga tak samo jak wzywać nadaremnie zabraniało przykazanie, tak go też do lada walki powoływać — nie godziło się... Książę obyczaju dawnego, dowodzącego wielkiej ufności w Boga i sąd zdającego nań — uparcie bronił.

Waśnili się tak o wiele innych rzeczy, a w końcu książę całkiem serce do niego stracił. W jednej z tych chwil rozdrażnienia, postanowił ujść z Budy i wyprawił Lasotę po pieniądze i ludzi.

Kilka tygodni upłynęło, nim Nałęcz powrócił, i gdy się przed księciem stawił — z wielkiem zdumieniem swem, znalazł go już ze zmienionem zdaniem.

— Ludzi kilku i pieniądze księciu przywożę — rzekł witając.

Biały przyjął go chłodno...

Po chwili począł bąkać, iż pora wiosenna nie sprzyjała wyprawie, że królowa znowu zapewniała go, iż dla niego wyrobi dział w Polsce —  
— zakończył tem, by pieniądze mu oddano, a ludzie powrócili i czekali, aż ich wezwie.

Lasota miał już dosyć tego nieustannego wahania się i zmienności.

— Miłościwy książę — rzekł — wielkopoleanie przystali trochę grosza ale z tem, aby był użyty natychmiast na podróż... Jeśli książę zmienileś zamiar... ludzie i pieniądze nazad powrócą, a i ja z niemi, bo też nie mam tu co robić...

Zarumienił się i zawstydził książę, i nie odpowiedział.

Lasota gniewny wyszedł. W istocie zabierał się do odjazdu, gdy nazajutrz Buśko nadbiegł, do księcia go wzywając.

Biały namyślił się. Wróciła chęć wyprawy do Polski, miał tym razem najmocniejsze już postanowienie — ucieczki z Budy.

Dwa dni tylko żądał zwłoki. W ciągu nich książę dwa razy jeszcze wahał się, rzucał poczęty przybór, a w ostatku nagle, pod pozorem polowania wymknął się z Buśkiem razem na wskazane miejsce i — ruszyli ku Krakowu.

Pelen był najgorętszego zapału i najpiękniejszych nadziei. Wyobraźnia jego snuła już na szczupłym wątku, najwzorzystszą tkaninę.

Lasota, choć w duszy się uśmiechał z tych marzeń, nie śmiał go rozczarowywać.

Jechało się małemi dniami, trochę lękając pogoni, zbaczając z gościńców — a że pora była nie bardzo sprzyjająca podróży, księżę nim do Krakowa przybyli, znużył się, zniecierpliwił, opadł na siłach.

Musieli go towarzysze podtrzymywać, zachęcać, namawiać. Na noclegi przybywali zrozpaczeni — gdy się trafił spoczynek dobry, męztwo powracało.

Tak się wlekli ku Wielkopolsce. Już się do niej zbliżali, gdy spór wynikł z tego, od czego poczynać i z kąd należało.

Lasota i inni wszyscy radzili księciu, aby od Gniewkowa swojego rozpoczął, gdzie miał przychylnych ludzi, sługi stare.

Księżę natomiast, choć łatwo się zrażał, gdy teraz nabrał jakiejś nadzwyczajnej otuchy, nie znał granic fantazji bujnej.

Chciał ubiedz z czterema ludźmi ni mniej ni więcej, jak Gniezno. Dowodził, iż miał tam znajomych, oddanych sobie, iż mieszczanie mu pomogą, a duchowieństwo się ulęknie i jeden z najważniejszych grodów wielkopolskich odda w jego ręce.

Było to tak nieprawdopodobnem i dziecinnem, że towarzysze osłupieli, lecz Biały ani mówić

z sobą dozwalał, upierał się, stał przy swoim, zmuszał ich do tego kroku.

Szczególniej na jednego mieszczanina Hanke, rachował Biały.

Ojciec Hanki tego, a byli ludzie zamożni, pochodził z Gniewkowa i rodzina miała wielką miłość zachować dla swojego księcia.

Hanko wprawdzie tak młodym był, gdy książę z kraju się oddalał, że mógł go nawet nie poznać, wszelako u niego się on bezpiecznym czuł, i — w najgorszym razie, pewnego języka chciał tu dostać.

W sam dzień Narodzenia Najświętszej Panny który przypadał w piątek, wieczorem przesunęli się niepostrzeżeni przez bramę miasta, a zapytawszy o Hanke, prosili u niego o gospodę.

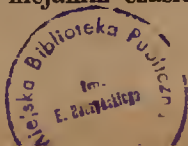
Nie było jeszcze późno.

Bogaty mieszczanin, gromadkę, która mu się wydała być ziemianami z okolicy, przyjął u siebie.

Książę wszedł do izby z gospodarzem, rozochocony, iż mu się tu bez przeszkody dostać udało, najlepszej myśli — wesoły.

Z gościnnością starodawną, Hanko, młody człek, żywy, roztropny, ludzki — kazał natychmiast podać jedzenie, sam przyjmując swych gości i usiłując dowiedzieć się, z kąd przybywali.

Z razu nie poznał on wcale, ani się domyślał księcia, lecz po jakimś czasie, Biały postrzegł,



iż mu się bardzo pilno i z wielkiem podziwieniem przypatrywać zaczął.

Uderzyło go i przypomnienie podobieństwa jakiegoś, i to może, iż goście nie umieli opowiedzieć się zkąd jechali. Bo osobno, każdy prawił co innego.

Książę nie myśląc się ukrywać bardzo przed Hankiem, gdy się sam na sam zostali, coś przebaknął o Gniewkowie.

Wzmianka ta utwierdziła Hanke w domysłach.

Przyskoczył do kolan księcia, wzruszony wielce.

— Ja poznałem miłość waszą — zawołał — nie ukrywajcie się przed sługą swym. Jesteście księciem z Gniewkowa. Ale u nas mówiono, iż do klasztoru zamknęliście się dobrowolnie.

Książę rad, że go z takim uczuciem przyjmowano, nieostrożny i zawsze pod pierwszego wrażenia wpływem, działający porywczo, odparł śmiejąc się.

— Nie będę zaprzeczał... Tak! Chcę odzyskać, co mi Kaźmirz wydarł niesłusznie... a— kto wie, może i co więcej.

Nieopatrzne to wyznanie, w początku bardzo rozczulonego Hanke—ostudziło. Uląkł się.

W tem książę położywszy mu rękę na ramieniu, i sądząc, że go już ma całego, począł szeptać.

— Jest u was załoga? Jak myślą mieszczą



nie? Co słyhać między duchownemi?... Gdybyście mi pomogli, od Gniezna bym począł.

Hanko struchlał — długo odpowiedzieć nie mogąc.

— Miłościwy panie — szepnął. — Arcybiskupich ludzi jest z półtorasta głów... a nasze mieszczaństwo nie rycerskiego ducha i boi się wszelkiego zamieszania...

Na miłość Bożą, nie narażajcie siebie i nas.

Mówiąc to, drżał cały Hanko. Książę spojrzał nań nieledwie z pogardą — zmilczał.

Tymczasem mieszczanin, który i księciu się narazić nie chciał, a miał resztkę przywiązania do niego, począł mu powoli opowiadać o Gnieźnie, o siłach przeważnych — o mnogości ludu, któryby przeciw niemu się mógł podnieść, razem poddając inną myśl.

— Ja to wiem z pewnością — rzekł — że na Włocławku załogi tak jak niema... Ledwie kilku ludzi, zamek otworem, ani wątpić, że gdybyś książę wjechał, poddali by się...

Z równą gorącością jak przed chwilą chciał zdobywać Gniezno, Władysław chwycił się myśli opanowania Włocławka.

Hanko mówił prawdę, bo istotnie Włocławek stał prawie bezbronnym i mógł być ubieżonym, lecz — chcąc się Białego pozbyć z Gniezna, tem gorącej mówił, dodając, iż potrzeba było natychmiast korzystać z czasu, bo lada dzień mogą

przyjść rozkazy, aby się na czujności miano z powodu ucieczki księcia...

Noc jeszcze nie zapadła była zupełnie, gdy ksiązę rozgorzawszy ogromnie poddaną mu myślą opanowania Włocławka, zawołał Lasotę i tej chwili w drogę się wybierać rozkazał.

Tymczasem Hanko, istotnie przejęty tem, że dawnego pana miał pod swoim dachem, na jak najświetniejsze zmagął się przyjęcie. Posłał po najstarszy miód, po wino, mięsiwem zastawił stoły, rozradowany był i poruszony.

Uczucie to podziało i na księcia. Widział się tak dobrze przyjętym, witanym tak radośnie i serdecznie, iż uważał to za najlepszą wróżbę, i ani wątpił że Gniewków go przyjmie otwartymi rękami, że wszyscy pójdą z nim, że w dni kilka zbierze seciny zbrojnych.

Zapalony tem, Biały, pomimo nadchodzącej nocy, naglił o najspieszniejszy wyjazd.

Widząc go tak usposobionym, ani Lasota, ani towarzysze jego nie chcieli ostudzać... gotowi byli iść z nim, gdzie ich powiedzie.

Ksiązę w tej chwili okazywał coś w sobie tak rycerskiego, taką siłę miał i w drugich wlewał, że — wszyscy czuli się jak on gotowi, choć w liczbie szczupłej, rzucić się na najszaleńsze kroki. Nie było też bezprzykładnem naówczas ubieżenie zamków przez kilku zuchwałych a zrę-

cznych ludzi. Lasota rad był, że Białego nareście widział takim, jakim go tu mieć chciano.

Zaledwie dokończywszy wieczerzy, księżę konie kazał przyprowadzić... Hanko ofiarował się do bramy im towarzyszyć i postarać, aby ją otwarto.

Czuł się też biedny człek w obowiązku, ugościwszy pana, jakimś podarkiem, wedle ówczesnego zwyczaju go uczcić.

Na samem wyjeździe biegął, łamiąc sobie głowę, coby mu mógł ofiarować i wreszcie najulubieńszego sokoła, który do łowów był unoszony, przyniósł księciu, gdy już na koniu siedział.

Dar to był w tej chwili, gdy nocą spieszyć musiano, i nie bardzo było komu ptaka dogłądać, dosyć kłopotliwy, lecz księżę i sokoła za dobrą wróżbę uważał. Kazał go jednemu z towarzyszów na rękawicę wziąć, oczy mu kapturkiem przyśłoniwszy i wdzięcznie od Hanki go przyjął.

Tak tedy w Gnieźnie zyskawszy, zamiast rycerzy -- tylko ptaka, którego później Buškowi oddano w opiekę, i choć się opierał, kazano mu go piastować — ruszyli o gwiazdach ku bramie, przeprowadzeni przez Hankę, drogę im do Włocławka rozповідаjącego.

Noc miała starczyć na dostanie się do grodu, który, jak Hanko zaręczał, stał pusty niemal i bronić się nie mógł.

We wrotach znajomy stróżom mieszczanin, otworzyć je kazał — a nikt się z jadących nie potrzebował ani pokazywać, ni prosić. Zaledwie za wrota wybiegłszy, książę sam stanął na czele szczupłej gromadki, ręką wskazał kierunek drogi i wyciągniętym puścił się kłusem.

---

#### IV.

Już gródek Włocławski widać było na wyniosłym brzegu Wisły, z miasteczkiem okrażającym go, dosyć szeroko a ubogo rozsiadłem—gdy na gościńcu którym jechali, Lasota postrzegł gromadkę konnych, poprzedzającą ich i także ku miastu zdążającą.

Chociaż rozpoznać dosyć było trudno jadących, wprawne oko mogło się w nich domyślać rycerskich i zbrojnych ludzi.

Spotkanie to nie na rękę było im wszystkim, Lasota radził zwolnić koniom kroku i dać się wyprzedzić, ale książę dotąd trwający w usposobieniu jakimś niepomiernie zuchwałem, przeciwnie wyprzedzić ich zażądał.

Nie dał sobie mówić nic, i koniowi wraziwszy ostrogi, popędził wprost na jadących, inni też opuszczać go nie mogli.

Gromadka, która ku Włocławkowi zwołała się zbliżała, składała się w istocie ze zbrojnej czeladzi, na której czele jechał sędziwy mężczyzna, okryty kożuchem z kun dostatnim, z różańcem w ręku.

Wyrazista to była twarz, z oczyma przymrużonemi, ogromnemi usty w pół otwartemi, nosem niewielkim i policzkami wystającemi. Ten, kto ją raz widział, poznałby ją zawsze, tak charakterystyczny miała wyraz jakiejś osłupiałej, flegmatycznej zadumy.

Ksiązę pomijając starego, odwrócił się ku niemu, i zobaczywszy go, koniowi cugli skrócił.

Stary oczyma, które już nie zbyt dobrze widzieć musiały, i zmrużały się z wysiłkiem patrząc — począł Białemu się przyglądać, gdy ten nagle zawołał doń.

— Gniewosz?

Usłyszawszy ten głos, jeździec drgnął cały.

— Z tamtego świata wołanie? — krzyknął. W imię ojca!... Postaci nie widzę, a głos słyszę Gniewkowskiego pana! Toć nie może być.

— A jest! — zawołał książę stając przy nim. Gniewosz! jam jest...

Staremu się dwie łzy stoczyły po bladych policzkach.

— Cud więc się stał, — rzekł głosem drżącym.

— Stanie się jeszcze większy, jeżeli wy mi, wiernie dochowawszy pamięci — pomożecie...

Jadę moją dzielnicę odbierać... Król mi ją — oddał...

Bez rozmysłu fałsz ten wyrwał mu się z ust.

— Wy stary Guiewoszu ze mną, naprzód do Włocławka. Zamek obejmuję na siebie...

Gniewosz, który różaniec coprędzej, przeżegnawszy się do pasa przyczepił, cugle zagarnął, skrócił i trochę niespokojny, obejrzał się, ilu książę ludzi, miał na zajęcie zamku.

Zobaczywszy kupkę nie liczniejszą od swojej — odezwał się.

— Gdzież rycerstwo księcia?

— Naciaga! — odparł Biały — tymczasem go niepotrzebujemy. Włocławek przecie słowu memu zawierzy... i opierać się nie będzie. Ze mną stary!

Gniewosz też opierać się nie myślał, mocno wzruszony jechał obok księcia. Czeladź jego pomnożyła liczbę tych, co warowny, bądź co bądź gródek, opanować mieli.

Nie było to zamczysko zbyt silnie naówczas obronne, spalone kilkakroć przez Krzyżaków, na prędce na nowo osypane wałem i opasane ostrokołami, nie wiele miało murów nadwerężonych, ogorzałych i polepionych dość niedbale.

Tyle podobnych twierdz stało po granicach i domagało się przerobienia ich z gruntu, iż na wszystkie rąk i kosztów nie stawało. Co pil-

niejsze i co ważniejsze murowano, reszta kolei oczekiwać musiała. Tak i Włocławek.

Książę, któremu się zdawało, że wpadł na myśl bardzo szczęśliwą, zmyśliwszy iż mu król sam powrócił jego dzielnicę, pospieszał co żywiej, spodziewając się, że tym sposobem nietylko Włocławek, ale natychmiast i sąsiednie potrafi ubiedz warownie.

Tu już miał przyjaciół, rachował na swoich...

Gniewosz stary, święcie uwierzywszy w to co usłyszał — a miał przywiązanie do krwi i do tego domu Piastów, u których na dworze młode lata przebył — odżył i poruszył się wielce.

— Miłościwy książę — zawołał, gdy się już do zamku zbliżali — a po co ja tu wam potrzebny? Włocławek, gdy się tylko ukażecie, na pewno wam zdadzą — czy nie lepiej by było, abym ja z mojami przodem pospieszył do Gniewkowa z radośną nowiną, i tam się do was ludziom kazał gromadzić na przyjęcie pana?

Książę pomyślał trochę. Stary Gniewosz wprawdzie orszakowi szczupłemu dodawał powagi — lecz w razie oporu nic by nie pomógł. Przygotować zaś mieszczan i sąsiednich około Gniewkowa ziemian, mogło być bardzo przydatnem.

— Gniewkow to nic — ciągnął dalej stary. Tam księcia otwartemi rękami przyjmą, boć inaczej im było za was, niż teraz za starostów



królewskich... Ze Złotoryą ciężiej będzie, bo na tej Romlik siedzi z ręki króla, a że mu się dobrze dzieje, gotów trudności robić... i opór stawieć

— Gniewoszu mój, przyjacielu stary — krzyknął książę, który nabierał odwagi coraz więcej, jedź, jedź przodem do Gniewkowa — ale ostrożnym bądź. Będiesz wiedział komu się zwierzyć... Zbierz mi ludzi co najwięcej... O Złotoryi naradzimy się w Gniewkowie. Jedź w imię Boże!

Starowina Gniewosz, w którego też duch wielki wstąpił, już dojeżdżając do miasteczka, zawrócił, cały przejęty posłannictwem swem, na prost do Gniewkowa.

Biały pozostał sam. Lasota poznać go nie mógł.

— Kupą teraz, a śmiało! — zawołał — wpadniemy na zamek... — a tam! zuchwale a śmiało... nikt się przeciwko mnie porwać nie waży!

Naprzód!

W małym już oddaleniu od wrót byli — widzieli je od gościńca otwarte na oścież, brona była podniesiona... ludzi prawie nie widać. Czasu pokoju nie potrzebowano się zamykać po całych dniach i na noc tylko spuszczano bronę.

Kłusem wyciągniętym, książę przodem, za nim wszyscy jego towarzysze, czeladź, na końcu Buśko z sokołem trzepiącym mu się na rękę, popędzili na most. Zadudniało, wpadli już w dziedziniec, dopiero ludzi kilku bez zbroi, bosych,

wyrwało się z kątów, zaglądając, kto taki przybywał. Białły krzyczał stojąc na koniu.

— Sam tu, do mnie! kto tu starszy!

Za księcia przykładem, Lasota i inni podnieśli głosy ogromne, wrzawa się zrobiła, i w tej chwili przestraszony nią, z mieczem w ręku, ale bez zbroi też i hełmu — wyskoczył z bocznego zabudowania Gaska, dowodzący na zamku.

Był to człek mężny, ale zardzewiały w spokoju, powolny już, bo podstarzały, umysłu tępego trochę.

Widząc wpadających na zamek ludzi niewielu a gospodarzących tu i wołających nań, jakby do tego prawo mieli, nie mógł przypuścić, aby się tu działo coś nieprawidłowego... napaść taka zdawała mu się nie możliwą.

Białły z koniem podjechał ku niemu.

— Wyście tu starszym? — zawołał gróźnie.

— A ja!

— Nie znacie mnie?

Gaska popatrzał nań.

— Zkąd bym miał znać! — odparł.

— To drudzy mnie poznają — rzekł książę. —

Przyjeżdżam z rozkazem królewskim, aby mi zamek był oddany. Rozumiesz... Jestem książę Gniewkowski. Król Ludwik puścił mi moją dzielnicę, ze Włocławkiem i innemi grodami.

Zajmuję zamek od tej chwili.

Stary Gaska pogładził wusa.

Cóż miał na to odpowiedzieć, nie domyślał się podstępu i zdrady.

— Każ się stawić załodze całej, aby mi wierność ślubowała natychmiast — dodał książę.

Czasu nie mam do stracenia, bo na mnie już w Gniewkowie czekają.

Odwrócił się do Lasoty.

— Jedź na miasto do sołtysa i wójta, niech mi się mieszczanie zaraz tu stawia!

Nałęcz zawrócił konia i pobiegł. Gaska stał, nie wiedząc, co poczynać. Ludzie zamkowi nie wołani, na sam krzyk i wrzawę zbiegli się niemal wszyscy. Niektórzy z nich poznali dawniej widzianego księcia; innym też zmiana smakowała, bo w pierwszej chwili zawsze nowe panowanie uczta się poczyna i piwem oblewa.

Głosy po podwórzu odzywały się radosne ku księciu. Opierać się nikt nie myślał. Biały więc śmiało z konia zsiadł, a zobaczywszy to pierwszy Buśko, który jazdy nie lubił także, z ptakiem swym z siodła się stoczył.

— Prowadźcie mnie do izb... gdzie one są! — zawołał książę do Gaski.

Ten jak stał na pół odziany, ruszył się posłuszny, i drzwi główne popchnął, torując drogę.

Biały dał znać swoim, aby u wrot pozostali, a sam z Gaską wszedł do środka.

Tymczasem Lasota wbiegłszy do miasteczka, równie zuchwale począł wołać wójta, ławników,

sołtysa i alarm zrobił wielki, opowiadając, że książę zamek zajął i powołuje ich do siebie.

Wiadomość ta, jak piorun spadła na mieszkańców Włocławka. Nic się podobnego nie spodziewano, lecz że zawsze książęce rządy łżejsze bywają niż starostów, a mają urok jakiś — nie przestraszyli się wójt i ławnicy... Wieść po mieście gruchnęła.

— Na zamek! na zamek!

Z dawnych czasów znajomych i przyjaznych księciu, znalazło się ludzi trochę, ci innych pociągnęli.

Kto żyw, wdziawszy opończę, przyczesawszy włosy, świętecznego dobywszy kołpaka, pospieszał do zamku, aby pierwszym być do powitania przyszłego pana.

Pomiędzy rybakami, którzy się tu uważali, wedle podania za najstarszych osady założycieli, wielu było majątnych, inni handlem nad Wisłą dorabiali się grosza i równie byli zamożni. Starszyzna ta groszowa, nie ociagała się też.

Mieć swojego własnego księcia — wydawało się im wcale pięknem. Miasto się mogło podźwignąć i podnieść. Rybacy i kupcy myśleli już o tem, jakichby się przywilejów i swobód od księcia domagać mogli...

Z tak różnemi myślami, lecz w ogóle jak najlepiej usposobieni, mieszczenie, kupcy, wójt, ła-

wnicy—wszelkiego zawołania lud — poczęli żywo zdążać do zamku.

Lasota też powracał spełniwszy polecenie. Ogół ludu z radosnemi twarzami szedł witać pana, a było go już we wrotach, na podwórzu, na gościńcu, na zamku tyle, iż wszelkie niebezpieczeństwo oporu ze strony załogi ustało...

Gaska też nie myślał o niczem, tylko o spełnieniu rozkazów księcia.

Biały, nim jeszcze wyszedł do tłumu, który na niego czekał w podwórzu; zawołał Gaskę który zbroiczkę i hełm przynieść sobie kazał, aby mu ludzi natychmiast zebrał i gotowych stawiał do zajazdu Gniewkowa.

Część załogi nielicznej miała pod dowództwem Sciborka Poboga, z orszaku księcia, zostać we Włocławku, stary Gaska w pięćdziesiąt zbrojnych ludzi szedł na Gniewków.

I to rozporządzenie wydane śmiało, nie znalazło najmniejszego oporu. Szczęśliwa widocznie gwiazda świeciła powrotowi Piasta do swej dzielnicy, wiodło mu się nad spodziewanie wszelkie. Zuchwalstwo jego popłacało, miał więc prawo zostać przy niem i podwoić je jeszcze.

Kto by go widział tego poranka, silnego, śmiałego, rozkazującego, nigdy by się nie domyślał, że cała ta energja była ogniem słomianym, który gorzał jasno, ale trwać nie mógł długo.

Nawet Lasota sądził, że na ostatek człowiek

uśpiony w nim odżył, i że teraz jest tym, jakim ma być już na przyszłość.

Jeden może biedny, zmęczony Buśko, który z równie jak on sam smutnym, najeżonym ptakiem, siedział osowiały w pierwszej komorze, i wszystkim do niej zagląającym, powtarzał.

— Dawajcie jeść i pić; — jeden Buśko przeżuwał złego coś, i jego podniesiony, wesoły głos księcia nie łudził.

Gromada mieszczan, kupców, rybaków, różnego ludu zalegała już podwórce całe, gdy księżę namyśliwszy się, nareście wyszedł na przedsienie do niej. Przybrał postać, oblicze, dumę, wzrok nakazujący panującego.

Łatwem mu to było — miał w istocie urok pewien, który choć baczniejszego wejrzenia nie mógł oszukać, dla tłumu miał w sobie coś poszanowanie obudzającego.

Panem się urodził, a choć natura ta już siły wewnętrznej swej pozbawioną była, zachowała blask powierzchowny.

Z uśmiechem na ustach, pańsko, łaskawie, majestatycznie począł witać Białą odkryte przed nim głowy. Wójt pierwszy kołpak podniósł do góry i zawołał — Żywie!

Cały gmin z niezmiernym zapalem powtórzył za nim okrzyk.

Skłonił się księżę.

Buśko korzystając z tak dobrego usposobie-

nia, odsunął trochę okna i do bliżej stojących z ruchem niecierpliwym, zawołał półgłosem.

— Pić i jeść dawajcie!

Nikt go słuchać nie miał czasu, gdyż wszystkich oczy były w księcia wlepione, uszy wszystkich zwrócone ku uiemu.

Polszczyznę trochę łamaną, ale zawsze zrozumiałą, książę przemówił do starszyny, ciesząc się iż powraca na swą ojcowiznę, do nich, zalecając im dotrzymanie wiary, obiecując łaski wielkie.

Nic go to nie kosztowało, a mogło mu pomóc wielce.

Przyobiecował więc swobody Włocławkowi, jakich żadne miasto nie miało, myto dla niego na rzece pobierając się mające, skład towaru przymusowy, uwolnienie od opłat wielu...

Okrzyknięto znowu księcia... Zapach rosnął ogromnie.

Starszyna teraz dopiero pomiarkowała, jak się znalazła nieprzyzwoicie, idąc bez podarku na powitanie księcia. Było to przeciw wszelkim tradycjom odwiecznym, które wymagały, aby podwładny ani do pana, ani do sędziego, bodaj do wójta i sołtysa nie szedł nigdy z próżnemi rękami.

Rybacy także zmiarkowali, że cześć ich wymagała przynajmniej szczupaka dla pana, a coś mniejszych płotek dla czeladzi.

Zaczęto się w tym ważnym przedmiocie naradzać po cichu, myśląc wyprawić do miasta kogoś, coby tę omyłkę starał się naprawić i ściągnął coś od mieszkańców; ale, czasu było omal.

Książę wołał, aby mu co było na podorędziu dano do jedzenia; i zapowiadał, że się natychmiast z Gąską udać musi do Gniewkowa.

W podwórzu już szykowali się posłuszni wojacy Gąski, wywodząc konie, chwytając oręż, jaki się dał znaleźć i mocno wbici w pychę tem, że straż przyboczną księcia stanowić mieli.

Stary półkownik także przejęty był tem, że u boku pana, po długim wypoczynku, powołanym jest do czynności.

Orszak ten, który miał towarzyszyć Białemu, wprowadzie po świetnych rycerzach, jakich się on napatrzył na dworze Ludwika, nie wydawał mu się bardzo okazałym, prawdę rzekłszy był lichym, zawsze jednak wart był więcej niż czterej ludzie z dodatkiem Buśka, z którymi tak szczęśliwie Włocławek zająć się udało.

O przyszłości nie wątpił już książę, zdawało mu się, że tak samo powinny mu się poddawać wszystkie zamki królewskie. Przypisywał urokowi swojego imienia, co było dziełem przypadku.

Gniewków, do którego poprzedził go Gniewosz, zdawało mu się, że już miał w ręku.

Tłum okrzykujący go tutaj, zapowiadał ogólne uznanie, i prędkie skupienie się sił znacznych



Nie tylko Gąska z ludźmi wyznaczonemi miał ztąd towarzyszyć księciu, różnego ochotnika znalazła się w mieście garść spora.

I nim rybacy ze swą daniną, a ławnicy z podarkiem z miasteczka pospieszyć mogli, Biały już Sciborka Poboga nad zamkiem stanowił swoim starostą i zdawał mu resztę załogi, a sam co spieszniej na koń się siadać zabierał, do Gniewkowa...

Buśko zmęczony byłby także chętnie pozostał z sokołem, jako część załogi na Włocławku — lecz, obawiał się księcia opuścić i zostać osierconym. On jeden w to nadzwyczajne szczęście pana swojego nie wierzył.

— Gdzieby się jemu poszczęścić co miało?— mruczał sobie. — My jeszcze pewnie na Chenowskie wino do Dyżonu powrócimy. Smutnych tych myśli, nie dzielił jakoś nikt.

Zalecając na zamku pilność, w mieście posłuszeństwo i wierność, książę po drodze już wyposażony baryłką miodu, puścił się ku Gniewkowowi...

Prowadził z sobą więcej kopy ludzi zbrojnych, miał już we władaniu zamek jeden, drugiego był tak jak pewnym.

Ponieważ Lasota w ostatnich czasach często mu czynił wyrzuty i okazywał nieufność, książę z tej chwili skorzystał, aby przywoławszy go do

swego boku, wskazać na swe wojsko i rzec z uśmiechem zwyciężkim.

— A co? Nałęcz? powiecie wy mi jeszcze, że nie umiem działać, gdy potrzeba??

— Miłościwy książę — odparł Lasota — zdumiewam się, cieszę i tylko życzę, aby tak szło dalej.

— Pierwszy krok najtrudniejszy — śmiejąc się zawołał Biały. — Gniewkowa jestem pewny... Czeka ją tam już na nas... Z dwoma temi zamkami już się trzymać mogę, ale nie myślę na tem poprzestać, nim się wieść rozniesie, zajmę ich jeszcze kilka...

Potem Ludwik się będzie musiał rachować ze mną; Wielkopolan mam za sobą...

Gdy to mówił książę, twarz mu pałała i promieniała, zdawał się odmłodzony, rumieniec miał na ustach. Uderzył po mieczu u boku i dodał.

— Reszty żelazo dokona!

Lasota zmianę szczęśliwą widząc, skłaniał głowę, i przyznawał księciu wszystko. Tylko Buśko jechał smutny.

Drogę do Gniewkowa nie żałując koni, przerynając się najprostszemi bezdrożami, książę i jego orszak odbył w krótszym czasie, niż się sam spodziewał.

Zbliżając się ku temu staremu gniazdu swojemu, Biały spoważniał trochę. Spotykały go tu co krok wspomnienia młodości, szczęścia, pier-

wszych lat życia niepowrotnych, ożłoconych nadziejami tyłu.

Pomimo zwycięstwa, smutek i jakieś złowrogie przeczucie, zaczęły nim zawładnąć.

Czuł, że szczęście jakiego tu kosztował, dwa razy nie powraca w życiu. Chmura przesunęła się po czole i zawisła nad niem, ścisnęło serce.

Nie dojeżdżając do zamku, rozweselił się znów, widać było że Gniewosz go tu poprzedził. Starzy słudzy, dawny dwór, ludzie co pamiętali minione czasy, konno i pieszo wybiegali na spotkanie.

Pomimo opowiadań i zaręczeń Gniewosza, nie chciało się im wierzyć, aby księżę mnich, zrzucawszy kaptur, po latach tyłu do nich powracał.

Z Białym dobrze się im działo. Miał wprawdzie dziwactwa swoje, a łaska jego bywała nie trwała i zmienna—lecz nie był nigdy zbyt okrutnym — pamiętano mu co dobrego czynił.

Zoczywszy nadciągający orszak, ludzie gniewkowscy podnieśli okrzyk wielki. Niektórzy z nich na gościńcu popadali na kolana ręce podnosząc, inni do strzemion jego biegli, chwytając i całując nogi.

— Księżę nasz! księżę nasz! — krzyczauo biegnąc za końmi, wyprzedzając się, czapki podzucając do góry.

Buśko, który dotąd kwaśny był i zasepiony, uległ zarazie tego rozczulenia, które wszystkich

ogarnęło. Puciołowata twarz jego i szerokie usta uśmiechem się rozjaśniły, podniósł sokoła na rękę, który mu się miotał, tak nieostrożnie, że kapturek źle przymocowany spadł mu z głowy, a ptak, który pęt na nogach nie miał, korzystając z chwili skrzydła rozwinął i swobodnie puścił się w powietrze.

Nie wielka była nadzieja, aby teraz do ręki, do której był nienawykły powrócił.

Strata mogła się odbić na plecach Buśka, lecz uniesienie i radość były tak wielkie i powszechne, że on wcale na to nie zważał, księżę o czem innem myślał.

I jego ogarnęło wzruszenie...

Stał znowu na tej ziemi, którą za swą spuściznę, za ojcowską uważał. — Lud go tu witał jak pana swego rodzonego, z którym wieki związek utrwaliły.

W podwórcu zamku, opuszczonego bardzo, który mu się wydał ruiną — nietylko Gniewosz stał, nietylko cała starszyzna miejska, ale kilku ziemian zwołanych na prędcę. Oprócz tego gmin cały wysypał się na powitanie.

Zapał, jaki się objawił we Włocławku, nie mógł być porównanym do tego uniesienia, z jakim go tu witano.

Jest w naturze ludzkiej to przywiązanie do wspomnień przeszłości. Nie jedno serce potrzebuje lat długich rozłąki i zapomnienia, aby ży-

wiej uderzyło, niż naówczas, gdy się ta miłość zawiązywała.

Księżę pod wrażeniem tryumfu, który odniósł, zsiadł z konia.

Tak, był to ten sam jego dworzec stary, u którego progu niegdyś z młodą żoną stał, witany tak samo; u tego progu, który potem po zabójstwie Kiwały, po osieroceniu swem opuścił bez żalu. Był tu znowu i miał drugie rozpocząć życie.

Nie dano mu długo myśleć, ani się wspomnieniami zachmurzać — twarze dawniej znajome, zmienione, postarzałe, jakieś inne, choć te same, gdyby widma zachodziły mu drogę.

Stare niewiasty, które porzucił tu młodemi jeszcze prawie, płakały.

Z dawnej jego służby, która wyglądała świetnie, niedobitki zjawiały się odarte, w łachmanach.

W izbach, do których go prawie na rękach wniesiono, ledwie ściany nagie też same pozostały... odarte, zczerniałe, zbrukane. Tylko tęsknica i smutek przyległ do nich, radość co tu mieszkala, uleciała. Pustką wiało i stęchlizną grobową.

Radosne okrzyki dziwnie jakoś odbijały się o te ściany.

Rękami ujął się za głowę... i mimowoli na myśl mu przyszło, że był postrzyżonym mnichem, który zakon porzucił i panu złożone śluby pola-

mał... Dla czego właśnie w tej chwili to przypomnienie ubodło go w serce?...

Nie dano mu się rozżalić. Stary Gniewosz, który się już tu jakby za wojewodę i marszałka razem książęcego uważał, cisnął się do niego.

Ziemianie Sikora, Zlazły, Dziegiel, Zaraza, Szaszor — otaczali go z pokłonami i pozdrowieniami. Wszyscy wyrażali z prosta jak byli szczęśliwi, że im powracał.

Ksiązę wbity w pychę tem powodzeniem, już myślał tylko, jakby z niego korzystać.

— Gniewoszu mój — odezwał się — nie potrzeba tracić czasu... Nim pójdzie głos o mnie, trzeba zająć — co tylko się da pochwycić... Lepiej zagarnąć więcej, niż za mało... Dzielnicę mi muszą dać, jako Piastowi przystała...

Ludzi z sobą przywiódłem z Włocławka, póki czas, potrzeba na Złotorję co prędzej.

— E! miłościwy ksiązę — pospiesznie odezwał się Szaszor — z Romlikiem sprawa będzie ciężka. Ja go znam, on tak łatwo zamku nie puści... Choćby i listy królewskie widział — nie posłucha. To kamień, nie człek, a porósł tam w pierze — ho! ho!

— Na Romlika jest sposób — przerwał Sikora.

— Jaki? — podchwycił razem Gniewosz i ksiązę.

— Romlik się na święta wybrał do brata, do Podgórkę — rzekł Sikora. — Nie ma co myśleć,

trzeba go nocą dziś jeszcze porwać, a gdy się go ściśnie, musi Złotoryą nam poddać.

Książę w ręce klasnął.

— Natychmiast Szaszor z Sikorą weźcie ludzi i do Podgórki... związanego Romlika mi tu dostawić... Oszczędzim krwi i zachodu.

— Mało tego — odparł Szaszor — który znał dobrze miejscowości — nawet gdybyśmy we dwójnasób ludzi mieli, Złotoryi nie dobędziemy tak łatwo... Zamek mocny, a dwie rzeki go oblewają, ani Wisły, ani Drwęcy nie odwróciemy od niego, oblegać by trzeba, a i osaczywszy, nie łatwo się dostać.

— I właśnie dla tego nam ją wziąć jest koniecznem — zawołał książę. — Kto wie co może wypaść... Mieć w ręku zamek taki..

Książę nie dokończył, aby się nie zdradzić, ale tego tłumaczenia nie potrzebowali Szaszor i Sikora. Oba byli ludzie młodzi i na przygody łasi. Romlik starosta zdawna obu był nienawistny, bo się górą nosił i raz był Szaszorowi zagroził, a ten jako ziemianin i do rodu starego należący — przebaczyć mu tego nie mógł. Sam by się do odwetu na własną rękę nie porwał, ale mając księcia za sobą, rad był upokorzyć starostę.

Sikorze nocna wycieczka, napaść na dwór, bójka, po długim wypoczynku smakowała także,

rozkaz więc księcia przyjęli z oznakami radości, i natychmiast pobiegli po ludzi i konie.

Środek gwałtowny tak był w obyczajach owego wieku, że nikt przeciwko niemu, ani pomyślał stawać. Gniewosz znajdował go słusznym, a Lasota, choć może za śmiałym go sądził, przeciwko księciu się odezwać nie śmiał.

Nie do poznania zmieniony był nieśmiały i wahający się książę, a choć obchodząc swój stary dwór opuszczony i podupadły, kilka razy się zachmurzył i oczy mu zaszyły łzami, męztwo wracało, zuchwalstwo nie zmniejszało się,

Było ono za gwałtownem, za gorączkowem, by długo trwać mogło, lecz nikt nie badał głęboko stanu księcia, a Buško nawet pod wrażeniem starych wspomnień, dał się im równie jak pan upoić—i—nie zaglądał w przyszłość...



## V.

Zamek w Złotoryi panujący i strzegący okolicy, który położenie i nowo wzniesione mury mocnym a warownym czyniły, zdany był staroście Romlikowi nie bez przyczyny. Człowiek i gród przystawali do siebie.

Stary wojak, który od pieluch rycersko służył i nigdy zbroi nie zrzucił, a sąsiedztwem krzyżackiem wiele się nauczył i skorzystał; na takiego dowódcę pogranicznej twierdzy był stworzony. Surowy dla swoich ludzi, ale o ich chleb troskliwy, nieubłagany, gdy o karność i posłuszeństwo chodziło, bystrego oka i ucha, wglądający w najmniejsze szczegóły, mordował siebie i podwładnych, nieustannie się około swego zamku krzątając...

Ten trud stanowił życie jego, gdy mu zabrakło roboty, stawał się zły, gderliwy i nieznośny.

Wiek uczynił go zgryźliwym, podejrzewającym, gadatliwym nad miarę, i choć w gruncie serce miał dobre, z obowiązku udawał okrutnego i nieubłaganego. Ludzie, co z nim dłużej żyli i lepiej go znali, przywiązywali się do niego, kochali starego i nie pomienialiby byli na łagodniejszego z pozoru.

Obcy mieli o nim to przekonanie, że tyranem był srogim, bo odgrażał się nieustannie, słowy cierpkimi szafował, a łajał od rana do nocy.

Swoi, uśmiechali się z tego, wiedząc że burze te zawsze się ciepłym deszczykiem kończyły.

Nigdy Złotorya tak dobrze nie była opatrzoną i obwarowaną; a choć się żadnego napadu nie obawiano, dostatek był wszelkiego przyboru do obrony, strażę dzień i noc do koła chodziły... Na murach kamieni, drabin, haków, kół zębanych, belek gwoździemi nabijanych, smoły beczek całe stosy leżały.

Wwały i opasanie od rzek i od lądu w najlepszym znajdowały się stanie, brona nie podnosiła się, chyba gdy tego była konieczna potrzeba.

Żołnierz z załogi nie mógł się potajemnie wykraść na miasto, bo go miano ciągle na oku.

Wychowaniec starego Romlika, zastępca jego i prawa ręka, młody Łukosz Gozdawczyk, naśladował go we wszystkim.

Jemu to zdał zamek Romlik na zbliżające się święta wielkanocne, dawszy się uprosić bratu

do Podgórek, nie więcej nad półtorej milki oddalonych.

Starosta niegdyś był żonaty, ale żonę stracił młodo, dzieci nie miał, i rodzinę braterską, która mu własną zastępowała, kochał bardzo.

Wprawdzie na takiej wycieczce na wieś — tęsknił za murami zamku, za ludem swym i codziennem zajęciem, ale, i tu próżnować nie mogąc, gospodarstwo brata brał pod swe rozkazy, i starał się wojskową karność parobkom zaszcześcić.

! Utrzymywał on, że po wsiach nie inaczej wszystko iść było powinno tylko tak, jak w obozie i twierdzy.

Brat Janko dawał mu się tu rządzić, jak chciał. Był on powolniejszego charakteru i wolał wesołe towarzystwo, a gadaninę szlachecką przy kubku, niż zbyt krzatanie się około gospodarstwa.

Prawdę rzekłszy, naówczas nie było też tak dalece co robić po wsiach. Pół bardzo mało obsiewano, wieśniacy dawali z łąnów gotowy osyp ziarna do dworu, ziemianin konie hodował, bydło rozmnażał, owce dla sukna trzymał, zresztą z barci i łowów korzyści ciągnął.

Nie wielu jeszcze mniej zamożnych, a zabiegliwszych do roli się brali na swą rękę.

Rozrodzeni tylko a ubożsi ziemianie, pierwsi,

kmieci naśladować rolę się parać zaczęli, a tych potem możniejsi za wzór brali sobie.

Ziemiańin, rycerz majątniejszy, wojenno służył i czasu wojny miał korzyść z łupów i żołdu.

Janko szczególnie w koniach się kochał i około stadniny pilno chodził.

Dwór w Podgórkach otwarty był i gościnny; gospodarz pośmiać się i słuchać wesołego gwaru rad był bardzo.

Ubożsi ziemianie, których się już naówczas dość namnożyło, tak zwani prości panosze, zjeżdżali się chętnie do niego, bo ich karmił, choć niewykwintnie, ale szczerze. Cały dzień prawie u niego jadło i napój ze stołów nie schodziły.

Żona do obyczaju jego stosując się, pilnowała, aby na niczem nie zbywało. Ona i starsza córka jej, która za mąż wyszedłszy wprędce straciła męża, a owdowiawszy do rodziców powróciła — tak były gościnne, jak Janko.

Dom na wiecznie otwartą gospodę wyglądał, a choć mienie było nie zbyt wielkie, na niczem nie zbywało.

Stary Romlik od dni już kilku bawiąc w Podgórkach u brata, choć święta były za pasem, zaczynał się niepokoić o opuszczoną Złotoryę.

Choć Łukosza swego był pewnym, nie dowierzał jego czujności, posądzając go, że od niejakiiego czasu do ładnej mieszczki chętnie zbiegał

wieczorami. Chciał niespodzianie go najechać, ale brat nie puszczzał. Sprzeczyli się z sobą, śmiejąc.

Wreście Janko pochował konie Romlikowi, siodła mu pozamykał i zaklął się, że nie da mu wyjechać aż po świętach.

Wieczora tego, przeciw zwyczajowi w Podgórkach nie było nikogo z gości, bo każdy przed świętami miał coś do czynienia w domu.

Nagadawszy się do syta dwaj bracia, z kurami spać poszli. Prawda, że wstawali też, gdy drugie kury piały o brzasku.

Romlik sypiał w swironku osobnym na podwórzu, izby zadusznej nie znosząc, bo był do wolnego powietrza w obozach nawykły. Jak to podówczas po staroświecku wszędzie prawie się działo, na noc żadnych drzwi nie zasuwano, we dnie też, choć wszyscy ze dworu wyszli, sromem było kłódki przywieszać i o zamki się troszczyć. Napaście się trafiały, ale kradzieże nigdy.

Romlik, który sen miał bardzo czujny, zbudził się, leżąc na swem sianie, otulony opończę tylko, bo mu się zdało że tentent jakiś usłyszał, a potem ciche w dziedzińcu szeptanie, które w głośniejszy gwar przechodziło.

Nie mógł zrozumieć, coby się przygodzić mogło w tak zwykle spokojnym dworze, ucha nastawił pilno — bo wołania i pokrzyki dochodziły go coraz wyraźniej. Poznał już głos brata i zawodzenia kobiece.

A że nigdy bez miecza u boku nie sypiał, bo to był zwyczaj ziemiański że go przy łóżku kładziono; — równemi nogami chwyciwszy się z pościeli, kord porwał i wybiegł ze świronka.

Dziedzińczyk pełen był konnych ludzi i pieszych, którzy już do dworu wtargnęli.

Napaść nocna widoczna.

Sam jeden Romlik nie przeciwko gromadzie tej nie mógł, ale nie rozważając wprost rzucił się na ludzi, co się do dworu cisnęli.

Noc była ciemna; nie postrzegli by go byli i nie poznali napastnicy, gdyby w tej chwili jeden z nich, z chaty w której czeladź spała, nie wyniósł zapalonej drzasgi, biegnąc z nią do dworu.

Właśnie Romlik z kordem dobytym cisnął się do progu, chcąc sobie torować drogę dla obrony brata.

Szaszor, który stał we drzwiach postrzegł go, poznał i natychmiast rzucił na niego.

Inni za tym przykładem idąc, wnet otoczyli, ścisnęli starego—który bronić się nie miał czasu, z tyłu ktoś przypadłszy miecz mu wyrwał, cała gromada opasała go, powalono na ziemię i jeden z pacholków, u pasa mający sznury, zaraz niemi krępować począł, ręce mu w tył wyłamawszy.

W mgnieniu oka na barki go wzięto, na konia wrzucono i przymocowano do niego; napastnicy

ode dworu odstąpili, zaczęli koni dosiadać, więźnia pomiędzy siebie zabrali i spiesznie uchodzili z Podgórki.

Zbudzony nagle, ledwie oprzytomniawszy Janko w jednej koszuli wybiegł ze dworu, gdy już nie było nikogo... i tentent tylko uchodzących, a wrzawę posłyszał.

Co się działo z Romlikiem, który ani przyczyny, ani celu tej napaści zrozumieć nie mógł, a jako wojak znieważony, wpadł we wściekłość, opisać nie podobna.

Nie miał on osobistych nieprzyjaciół, do żadnej zemsty nie dał nikomu przyczyny, sądził że go chyba omyłką porwać musiano za kogo innego wzięwszy, i krzyczeć zaczął okrutnie, że jest Romlikiem starostą i że sroga kara czeka tych, co się na niego targnąć śmieli.

W tem Szaszor pochylił się ku niemu.

— Wiemyć my dobrze kto jesteś—krzyknął—ciebieśmy tu właśnie szukali. Stul gębę stary i milcz...

Ale Romlik wołał ciągle.

— Czegoż chcecie odemnie? zbójce nikczemne...

Sikora z drugiej strony jadący przy nim, nie sądził, aby trzeba było tajemnicę z tego czynić, dla czego został ujęty.

— Do Złotoryi z tobą paneczku musimy — rzekł—abyś przykazał swoim natychmiast ją podać księciu Władysławowi Białemu. Jest na to

rozkaz króla. Włocławek już wziął, Gniewków swój odebrał, a wy mu Złotoryę musicie oddać.

— Niedoczekanie jego i wasze! buntownicy jakieś! — krzyknął Romlik. — Rozkaz króla! Gdyby rozkaz był królewski, nie potrzebowalibyście chwytąć mnie podstępnie. Zdrajcy jesteście... ale ja nim nie będę.

Szaszor się rozśmiał.

— Jak cię przypieczem, zobaczemy — zawołał. — To nie moja sprawa. Co mnie przykazano, spełniłem. Każą cię ściąć lub powiesić, prosić za tobą nie będę...

— Choćbyście mi nie tylko grozili ale męczyli — wrzasnął Romlik — niedoczekanie wasze abyście ze mnie zrobili takiego łotra jak wy... Gdyby Białych i Czarnych was było niewiem wielu, Złotoryi nie powąchacie... jest jej komu bronić...

Szaszor już się ujadać z nim dłużej nie chciał, podniosłszy głowę, zanucił znaną ludową piosnkę miłosną.

Dzieweczko miła,  
Dzieweczko złota...  
Byś otworzyła  
Kęs dla mnie wrota...  
Stoję na dworze,  
Okrutna słota.  
Grom zabić może,  
Dzieweczko złota...



Ludzie co pieśń znali, zawtórowali mu śmiejąc się i zagłuszyli wołanie miotającego się, a przeklinającego Romlika.

Tymczasem konie popędzano, nazad z łupem spiesząc do Gniewkowa.

Szaszor rad był i tryumfował, że mu się to tak gracko udało; Sikora utrzymywał, że gdyby nie on, pewnieby Romlik uszedł, ale zawczasu dwór otoczyć radził...

Na wołającego i wymyślającego starego, nikt nie zważał.

Romlika dobrze że krew nie ubiła. Przypomnił sobie teraz, że się gwałtem do Złotoryi wyrywał, że go brat nie puścił, że miał przecucie złowrogie... To się na nieszczęście ziściło.

Zkąd się tu nagle wziął Biały książę, w głowie mu się nie mogło pomieścić — bo dawno żadnego o nim słuchu nie było.

Gdyby nie Szaszor — innąby zdradę jakąś przypuszczał.

Wszystko to niemal jak sen straszny mu się wydawało, ale czuł się skrępowanym okrutnie, rwał sznury i ciało sobie ranił — nie zmora to więc była.

Pieśń miłosna skończyła się śmiechem i okrzykami, Romlik, korzystając z milczenia — wołać znów począł do Szaszora.

— Prawdę mów, zbóju, kto cię na to nasadził? Wiesz, że gardłem to przypłacić możesz?..

— Księcia Białego przykazanie...

— Coś ty, w służbę jego wszedł?

— A w służbę — i milcz! — odparł Szaszor. —  
Rychło zobaczysz, co cię czeka...

Starego nie można było zmusić do milczenia, kłął i wymyślał bez ustanku. Śmiano się z bezsilnego, a to gniew jego powiększało.

Szaszor, mający doń złość — uragać począł i znęcać się.

— Przyszła i na was kolej! nie małoście żołnierzyskom nadokuczali, a ziemianom nadojeśli. — Nie zechcecie gardła dać, Złotoryą musicie.

— To dam gardło... — krzyczał Romlik.

— Jeżeli was wieszać będą — dodał Sikora — bądźcie spokojni, ja wam spowiednika przyprowadzę...

— A ja postronka dam... — rzekł Szaszor.

W końcu znużony, zapieniony Romlik, zaciął usta, zamknął oczy i nie odzywając się ani na szyderstwa, ni na pogróżki, jakby nic nie czuł i nie słyszał, dał z sobą robić co chcieli. Pacholki konia jego popędzając, bili go po plecach, śmieli się z tego drudzy, Romlik był już jak kłoda...

Konie zmęczone smagano nietościwie, nagłąc do pośpiechu — nad rankiem zbliżyli się do Gniewkowa.

Tu, choć na dworcu część ludzi spała, niektórzy straż odprawując, przy beczkach piwa siedzieli.

Na ławie, podesławszy starą opończę, Buśko spał twardo. Gdy Szaszor z Sikorą w podwórce wpadli z wrzawą wielką, pokrzykując i głosząc swe zwycięstwo — wszyscy się ze snu zerwali; Buśko pochwycił z ławy przestraszony żegnając.

Szaszor oznajmując o Romliku, pchał go co prędzej do księcia, aby czasu nie tracić.

Biały też, nie rozdziawszy się, jak stał, zbroję tylko z piersi zdjawszy, na ławie przy stole zmęczony gorączkowym snem, niespokojnym odpoczywał...

Wrzawa go obudziła i wybiegł zaraz z mieczem w rękę, nie wiedząc jeszcze co się stało, gdy w progu mu związanego popchnięto Romlika.

Starosta spoglądał nań oczyma zakrwawionemi — ale bynajmniej nie ulękły.

— Tyś Romlik? — zawołał podchodząc księżę, ty trzymasz Złotoryą? Znasz mnie?

— Romlik jestem — ale ciebie nie znam i znać nie chcę — odparł stary.

Biały spojrzał nań gniewnie.

— Chcesz czy nie, to mnie poznasz! — krzyknął. — Złotoryą mi natychmiast musisz zdać, albo... gardła twego szczerdzić nie będę.

— Za moje gardło swoim zapłacisz... — odparł Romlik. — Złotoryi mieć nie będziesz... Zdrajca jesteś...

Słyszając to Biały pobladł — miecz który w rękę

trzymał, zadrgał — chciał go podnieść na starca i strzymał się. Przypomniawszy sobie, że mnichem był.

— Na koń! — zawołał głosem donośnym — na konie, do Złotoryi z nim...

W tem Romlik, któremu znowu rozbudzony gniew spokojnie ustać nie dawał, rzucił się, jakby chciał na księcia wpaść, sznury porwał...

Biały się cofnął.

— Kajdan na niego! — krzyknął — okuć go zaraz...

Starostę obalono na ziemię. Czeladź się po łańcuchy i kowala rozbiegła.

Tymczasem inni już konie z szop i stajen wyprowadzali. Lasota, Szaszor, Sikora wołali — do koni! żywo!

Dniało już jasno.

Biały na powrót wszedł do dworu, widok obalonego starca niewiedzieć dla czego przykrym mu był, niepokojącym.

Zadumany przeszedł się po izbach pustych — znać w nim było wahanie się jakieś i niepewność.

Na dworze okowywano starego Romlika, który zęby zaciąwszy nie targał się już i nie broił, choć mu ciało oszarpano łańcuchem.

Wkrótce potem Biały wyszedł we zbroi i szyszaku na koń siadać, posepny, z twarzą, na której wymuszona siłą i energją widać było, która go wiele kosztowała.

Buśko płaszcz niósł za nim.

Siadłszy na koń, obejrzał się książę i co konie starczą, jechać za sobą kazał do Złotoryi. Okutego starostę rzucono znowu na konia, dwóch pacholców wzięło go między siebie.

W ciągu podróży Biały razy kilka obejrzał się na więźnia niespokojny, spotykając zawsze wlepiony w siebie wzrok krwawych oczu jego, tak śmiały i wyzywający, jakby się wcale nie obawiał śmierci, którą mu grożono.

Nie odzywali się jeden do drugiego — książę spodziewał się, iż gdy pod mury twierdzy się zbliżą, na ostatek starego trwoga ogarnie, ale Romlik jechał jak kamienny...

Już nie daleko byli od wrót zamkniętych, gdy książę stanąć kazał — i groźnie najechał na Romlika.

— Słyszysz, ty! — zawołał — jeszcze raz wzywam cię, natychmiast mi zamkowym poddać się każesz...

Starosta z pod brwi rozłosłych, rzucił nań wejrzeniem dumnym i śmiałym i krótko wyjęknął.

— Nie!

— Śmierć cię tu czeka! — zawrzał książę.

— Romlik skrzywił usta, odwrócił oczy i patrzył na zamek swój.

Z murów ludzie spostrzegli byli zbliżających się i ku wrotom ciekawie naciskali.

Na wyżki po nad niemi wybiegł Łukosz prze-

straszony. Wśród gromady łatwo mu było poznać związanego starca... załamał ręce.

Nie pojmował co się stało.

Książę tymczasem trąbić kazał.

Nim się do Łukosza wysłany Szaszor przybliżył ku wrotom, Romlik uprzedzając go z wielkiem wysileniem podniósł głos.

— Łukosz — wrzasnął — żebyś mi zamku nie śmiał otwierać... żebyś mi się nie poddawał. Zdrajcy są... bronić się do upadłego...

Nie mogąc zrozumieć jeszcze, ani kto Romlika prowadził, ani co się stało z dowódcą, ni czego chciano od zamku, Łukosz stał osłupiony.

— Bronić zamku! nie poddawać! — wołał zajądło, głos podnosząc Romlik.

Milczenie panowało chwilę.

W tem Lasota począł krzyczeć.

— Bramy zaraz otwierać... zamek zdać! chccieli życie uchować! Rozkaz króla... gród ma być puszczoney księciu na Gniewkowie...

Łukosz mało co o tym księciu słyszał, nie znał go wcale — nie wiedział co czynić — ale Romlika rozkaz był dlań święty... Tymczasem pachołkowie pięściami usta staremu zamykali.

Szaszor, który znał Łukosza i wiedział, że jak dziecko rodzone był do starosty przywiązany — począł wołać.

— Jeżeli zamku nie zdacie natychmiast, wy-

rok wydany, stryczek gotowy—Romlika tu wam przed bramą obwiesim...

Zbladł Łukosz.

Ksiązę, który na koniu stał trzymając się nieco dalej, aby go z łuku lub kuszy nie postrzelono — przerwał Szaszorowi, dodając.

— Bramy zaraz otworzyć, lub śmierć staroście..

Dla większego strwożenia młodego dowódcy, Szaszor z konia skoczył, jakby szukał miejsca, gdzieby wyrok miał spełnić. Romlika dwóch ludzi z konia ściągnęło...

Przed samym zamkiem u mostu, stała chata rozwalona, z dachem zapadłym, z której tylko zrąb pozostał. Obnażone belki popruchniałe zobaczywszy Szaszor począł wołać, że na jedną z nich postronek zarzucić było można. Ksiązę stał, nie odzywając się już i nie przecząc też.

Pachołkowie powlekli nieszczęśliwego na miejsce wskazane.

Łukosz który na to patrzył, łamał ręce w rozpacz.

— Stójcie! — zakrzyczał,

Romlik już pod belką stojąc począł doń wołać.

— Ani mi się waż...

Młody dowódzca nie słuchał, bo mu szło o życie starego, który dla niego był tak jak ojcem, więcej pewnie niż o zamek.

— Pokażcie rozkaz króla! — odezwał się do stojących pod bramą.

Romlik chciał się odezwać, pacholek mu szeroką dłonią usta zatulił.

— Rozkaz króla... ja ci przynoszę... słowem mojem—zawołał książę. — Zamek otworzyć natychmiast, lub starego obwieszę.

Sposób ten zdobycia, Szaszor, który dobrze znał przywiązanie Łukosza do starca, pewnie doradzić musiał.

Romlikowi już stryczek na szyję zakładano, gdy Łukosz w rozpacz wołać począł.

— Dziej się wola Boża — nie dam ginąć staremu, niech król lepiej zamek traci. Ma ich dosyć, a u mnie on jeden na świecie...

Na twarzy Białego zabłysła radość, pokazał się uśmiech, spał konia spiesząc już sam do bramy.

Wewnątrz podnoszono żelazną kratę, Łukosz biegł sam, aby co prędzej starca wyzwolić.

Złotorya się poddała... Książę Władysław pierwszy wjechał na zamek.

---



## VI.

Tak nadzwyczajne powodzenie, w ciągu bardzo krótkiego czasu, opanowanie Włocławka, Gniewkowa, a nakoniec najbardziej upragnionej Złotori, nie tylko księcia wbiło w dumę i dodało mu niezmiernej odwagi, ale wszystkich przy nim będących upoiło.

Lasota nie wątpił, że od tej chwili, gdy już z Włocławka, Gniewkowa i załogi zabranej na zamku, mieli kilkuset ludzi zbrojnych pod swem dowództwem, dalsze zdobycze pójdą łatwo.

Pierwszy ten krok, zawsze najtrudniejszy — był uczyniony. Stary Gniewosz podjął się ziemian i ubogich panoszków z okolicy ściągać pod chorągwie książęce.

Niektórzy zasłyszawszy o tem, co się stało, biegli sami, ofiarując usługi swoje.

Białego księcia poznać nie było można, szal

go niemal opanował, już nie Gniewkowskie księstwo myślał zagarnąć, ale bodaj całą Wielkopolskę...

Czuł się bohaterem, sobie przypisując co było dziwnym tylko składem okoliczności.

Buśko chodzący za nim i wpatrujący mu się w oczy, rychło li zmieni się i wybrykiem jakim dzieło dokończy — zaczynał sądzić, że szczęście może go uczynić wytrwałym.

Na zamku, ponieważ dostatek się wszystkiego znalazł, rozporządzano się, nie pomnać o jutrze...

Ludzie przybyli z Białym gospodarowali, odbijano komory, wyciągano zapasy, wytaczano beczki, chwymano co lepsze zbroje.

Szaszor, który nie bez przyczyny sobie po części przypisywał zdobycie Złotoryi, i niem był podbudzony do nowych jakichś zamachów... — gryząc palce chodził po podwórzu. Nie dosyć mu tego było.

Widział się już w przyszłości naczelnym wodzem księcia... dowódcą na zamku, kto wie, jakim dostojnikiem nowego władzcy... Chciał dać jeszcze większy dowód swojej przebiegłości i dowcipu.

Książę tylko co był zrzucił szyszak, porozpiął się i zabierał spocząć nieco, a myśleć co dalej czynić i gdzie się sam ma z dworem i siłą swą mieścić, gdy na progu, wasy kręcąc, pokazał się z miną butną Szaszor.

— Miłościwy książę — odezwał się. — Kiedy się wiedzie, trzeba korzystać, szkoda czasu... Później się ludzie opatrzą, ciężiej przyjdzie gródki zdobywać.

Biały wstał z twarzą rozjaśnioną.

— Cóż myślisz? — zapytał.

— Mybyśmy dziś z tą siłą mogli się puścić na Szarlej, i ten by się nam zdał.

— Sądzisz? — spoglądając nań nieśmiało, szepnął książę.

— Jak mi Bóg miły, kiedyśmy Złotoryą wzięli, Szarlej zdobędziem...

— Jakim sposobem?

Szaszor wąsa darł.

— Ja znajdę sposób — rzekł. — Nim konie spoczną i zjedzą, pchnę takiego człeka com go pewien, aby popłoch rzucił w Szarleju i oznajmił im, że Złotoryęśmy wzięli. Złękna się Szarlej, choćby przyszło oblegać, nie taki mocny... załoga mała... Poddadzą się.

Na twarzy Białego razem z radością pewien strach się malował—lękał się stracić co już trzymał, przez zbytne zuchwałstwo. Zawahał się.

— A jeśli się nam nie powiedzie? — bąknął nieśmiało. — Pokusić się i odejść ze wstydem—gorzej niż się nie porywać.

— Ale my Szarlej weźmiemy, jeśli tylko prędko się nań rzucimy — gorąco wtrącił Sza-

szor. — Nie może to być, aby się nie ulękli — tylko czasu nie tracić...

Biały wahał się jeszcze, lecz Szaszor drżał i kipiał z niecierpliwości.

— Niechaj wasza miłość nie zwleka... pojutrze będzie zapóźno. Żelazo bić, póki gorące. Szarlej weźmiemy...

Jeszcze nie mógł słowa stanowczego wyrzec Biały, gdy słuchający rozmowy od progu Lasota, przejęty i zarażony zuchwalstwem Szaszora, krzyknął.

— A czego czekać? iść!

I to by może nie przeważało jeszcze, gdyby w kącie nie postrzegł ksiązę Buśka.

Ten stał z miną szyderską, jakby mówił oczyma. — Oto go mam, już się zawahał — i stehórzy.

Wzrok ten ubodł Białego jak wymówka, zawstydzil się.

— Na Szarlej! rób jakeś powiedział — iść...

Załogi część ze Złotoryi weźmiemy z sobą, a Włocławskich i Gniewkowskich tu zostawić... Ślijże przodem stracha, my za nim...

Szaszor z radości, że mu się księcia namówić udało, przybiegł go w rękę pocałować, kołpak na głowę włożył i wypadł jak szalony w podwórze.

Miał tyle jednak pomiarkowania, że nie okrzyknął jeszcze głośno, dokąd i kiedy iść mają, począł tylko załogę rozdzielać, ludzi wybierać, i

w imienin księcia przywłaszczył sobie moc nad wszystkim.

Nikt mu się nie sprzeciwiał.

Człowieka, który trwogę miał przodem zanieść, już wybrał zawczasu, do kąta go wziął, naszeptał mu co było potrzeba, na koń wsadził i z zamku precz z pośpiechem wypchnął.

Wieść o wyprawie na Szarlej nie rozeszła się jeszcze była pomiędzy ludźmi księcia, nie wiedzieli o tem, tylko Szaszor, Lasota i Buško, który był milczący, a nie dowierzając przyszłości, starał się tylko z obecnego stanu korzystać. Z Gniewkowa, z Włocławka, co mógł pochwycić w sakwy pakował, i na Złotoryi też, zawsze w imieniu księcia po kątach wszystkich wietrzył, czy by się co nie znalazło...

Sam książę dotąd niewiele własną wolą działał, niosła go jakaś fala szczęśliwa, i dawał jej pchać się dalej.

Najśmielsze marzenia jego przechodziło to, co się ziściło w przeciągu dni niewielu, zaczynał wierzyć w jakieś przeznaczenie. Jasno jednak nie widział przyszłości, sądził, że ona przyjdzie i narzuci mu się sama.

Młodzi towarzysze, Szaszor, Lasota, Sikora z innymi, którzy od Gniewkowa z nim byli, czynili zań wszystko. On — marzył.

W duszy walka dziwna odbywała się między nadziejami najzuchwalszemi i nieopisaną trwogą.

Mnisze śluby, suknia, którą zrzucił, ciążyły mu jak pomsta groźby Bożej. A nuż Bóg na to tylko go podniesie wysoko, aby tem cięższym pokarał upadkiem?..

Spoglądając na miecz u boku, na zbroję, na szyszak, a przypominając czarną suknię, drżał lękając się piorunu z nieba.

— Papież, gdy będę możnym, od ślubów mnie uwolni, — mówił do siebie.

Razem z temi myślami, zbliżając się do Drzdenka, Biały mimowolnie przypomniał sobie Frydę Bodczankę. Odpędzał to wspomnienie, narzucało mu się niepozbyte.

Wiedział, że Fryda była w nim rozmiłowaną dawniej. Lasota przyniósł mu od niej pozdrowienie. Niegdyś, po stracie żony, choć lubił ją, nie chciał się do niej przywiązać.

Wspomnienie zmarłej tę nową miłość odpychało. Teraz narzucała mu się ona jako upragnione, odnowione szczęście, po wyrzeczeniu się go powracające. On, co już ani wzroku na niewiastę, ani myśli ku niej nie śmiał podnosić, on, mógł jeszcze mieć żonę, rodzinę... Serce mu biło.

Tem gwałtowniej pragnął tego i marzył, iż na wieki się był zrzekł wszelkiego zetknięcia z światem niewieścim, a serce puste domagało się nowego pokarmu.

Do pragnień władzy, swobody, wyniesienia się, przybywała żądza, wrodzona człowiekowi po-

dwojenia swej istoty, połączeniem z drugą. Wśród ciszy słyszał już głos jej, przypominał piosienki; widział jej wzrok w sobie wlepiony.

W Gniewkowie naprzód to imię Frydy przyszło go we śnie gorączkowym nawiedzić, z niem się obudził, niósł je z sobą przez drogę, nawet gdy cały zdawał się Romlikiem zajęty.

Nowe powodzenie marzeniu temu nadało siłę większą.

Zaczynał wierzyć w to, iż ono ziścić się może. Papież musiał przebaczyć... mógł się kapłan znaleźć do pobłogosławienia związku...

Łudził się.

Na krótko myśl o zdobyciu Szarleja oderwała go od tych snów niebezpiecznych, lecz za ledwie słowo wyrzekł, rozkaz dał, zostawszy sam, zanurzył się znowu w tych rojeniach o przyszłości.

Władysław Biały był człowiekiem wrażeń silnych, gwałtownych, choć krótko trwających.

Pod ich naciskiem głowa mu się zawracała. Myśl raz powzięta w mózgu niespokojnym z szybkością nadzwyczajną rosła, rozwijała się, potężniała, by w końcu pęknąć jak bańka mydlana.

Tak teraz opanowała go ta Fryda i — przyszłe gniazdo, które fantazya uścielała.

Nie mógł się powstrzymać od marzenia.

Zapúściwszy się w nie, postrzegł się dopiero nierychło, iż je całe oparł na jednym jeszcze w Dyżonie rzuconem słowie Lasoty. Chciał jego

potwierdzenia; a było mu tak pilno, że spostrzegłszy Buśka, który z sznurkowania po izbach z sakwą na plecach powracał, krzyknął nań, aby mu wołał Lasotę.

Ten niedaleko był i pośpieszył natychmiast.

O ile pilno było wezwać go księciu, teraz, gdy go ujrzał przed sobą, znalazł się zakłopotanym i nie wiedział, jak go badać. Nie śmiał rzucić tego pytania, które mu paliło usta. Zarumienił się.

Lasota stał i czekał.

— Wszak się nie mylę, — bąknął nieśmiało Biały, — wszak w Dyżonie, i później, mówiliście mi, przypominam to sobie, o Bodeczy... Wszak kazał mnie on pozdrowić?

— Tak jest, — potwierdził Lasota, — lecz od tego czasu nie widziałem go, anim o nim słyszał...

Księżciu pot kroplisty na czoło wystąpił.

— Tak, — rzekł, — cała ta rodzina była mi przyjazna...

Spojrzał na Lasotę, który sobie przypominał grydę i dorzucił z uśmiechem.

— Nawet Bodeczanka naówczas pozdrowić was kazała.

Biały oczy spuścił wstydliwie.

— Tak, — dodał, — mówiliście mi, że nie wyszła za męża...

— Powiadano, że też nie myślała ślubować



nikomu, — rzekł Lasota, który zdawał się myśleć o księcia odgadnąć.

Biały się przeszedł z głową spuszczoną po izbie.

— Pozdrowienie należy odplacić wzajemnem, — szepnął cicho. — Bodecza, synowie jego Dobrogost, Ulryk i Arnold mogliby mi być pomocni... Chciałbym posłać do nich kogoś...

Spojrzał na Lasotę.

— Miłościwy panie, — odezwał się zagadnięty, — ja mogę się przydać w Szarleju, kiedy nań iść mamy... Szaszor bardzo dobry do rady, ale gorączka... Nie radbym go odstąpić.

Słuchał z uwagą Biały i głową dał znak, że się zgadza.

— A więc z Szarleja, da Bóg, pojedziecie do Drzdenka z pozdrowieniem odemnie.

Przyszła mu zarazem myśl śmiała, posłania pięknej Frydzie choćby pierścienia przy pozdrowieniu. Niestety! pomimo zdobycia trzech grodów, książę nie miał jeszcze nawet złotego kolca, któreby mógł ofiarować!

Zmileczał więc, myśl tę zachowując w sobie.

Szaszor, który się palił do wykonania poddanego planu, nie dał księciu długo zabawić się marzeniami. Zaledwie konie zostały napasione, załoga przebrana, siła, która miała iść z niemi, skupiła się, wołał już — do koni.

Książę z pośpiechem począł zbroję wdziewać

i otrząsłszy się z swych marzeń, przybrał bohaterską postawę.

Mało co sam czynił, lecz chciał, aby mu wszystko przypisywano. Począł rozporządzać się głośno i przynaglać.

Chciał Łukosza, który mu się z twarzy podobał, zostawić na zamku przy Sikorze, gdyż on najlepiej go znał, lecz okazało się, że Romlik i on, korzystając z chwili zamieszania, gdy na nich nie zważano, zniknęli.

Łukosz zaledwie otwarłszy bramę, wymknął się do starego, który ze stryczkiem na szyi, rozpaczony leżał na ziemi, widząc zamek stracony.

W pierwszej chwili odepchnął on Łukosza jako zdrajcę, widziano, że młody długo u nóg jego leżał o przebaczenie prosząc — co się potem stało z nimi? nikt nie wiedział. Oba znikli.

Sikora więc został z załogą na pół nową, ale że zamek był mocny, a polecono mu trzymać się bacznie, i zapas był wszystkiego znaczny, obawy o Złotoryę nie miano żadnej.

Szaszor w nowy szyszak zdobyty w Złotoryi przybrawszy się i parę piór czaplich zatknąwszy u wierzchu, już sobie zupełnie dowództwo przywłaszczył. Rozkazywał, ustawiał ludzi, mianował starszyznę. Książę się do tego nie mieszał wcale.

Jechał znów pogrążony w zadumach.

Dzień był już, gdy zamek i miejscina ukazały się nadciągającym pod Szarlej.

Szaszor patrzył pilnie, chcąc wnieść z jakiejś oznaki, czy wysłaniec jego dostał się tu i po-przedził ich postrachem.

Zdawało się to prawdopodobnem, gdyż, mimo bardzo ранней pory, a zupełnego w kraju spokoju, około gródka, na wałach, ujrzeli snujących się niespokojnie ludzi. Na jednej baszcie postrzegł Szaszor kilku, którzy zdawali się tam stać na czatach, wypatrując, czy się co w okolicy nie pokaże.

Nowemu dowódcy, któremu nie zbywało na przebiegłości i rycerskim instynkcie, szło o to, ażeby siły, które prowadził, jak najgroźniejszymi się zdawa okazały.

Rozporządził więc ludzi swych tak, aby się długim sznurem ciągnęli, rzadka rozbiwszy się; i wojsko w istocie mogło na pierwszy rzut oka omamić, wydając się liczniejszym niż było.

Książę ujrzawszy gródek, stanął, odwrócił się i oczyma zaczął szukać Szaszora, który wskok ku niemu przybiegł.

Wzrokiem pytał, co teraz poczynać mieli. Szaszor nie tracąc wielkiego ducha, którego przez drogę w sobie jak mógł zagrzewał, chciał gwałtownie napaść, i o ile było można, osaczyć gródek, wrzawą i zuchwalstwem zastępując siłę.

Nie sprzeciwił mu się książę.

Zbliżywszy się więc ku zamkowi, oddziały dostały rozkaz opasania go, a Szaszor na koniu z kilku dobranymi, nieustraszony podbiegł pod wrota. Tu już widać było ludu dosyć skupionego, jakby się bronić zamyślał.

W pysznym swoim szyszaku, ale zbroi nie zbyt dobrze piersi okrywającej, z mieczem do góry, z głową zadartą, Szaszor przyskoczył, wołając.

— Kto tu starszy?

Po nad wrota wystąpił człek przygarbiony, w płaszczu długim, na mieczu sparty.

— Książę Władysław Gniewkowski, — począł donośnym głosem grmiącym Szaszor, i wskazał na stojącego na koniu, — przybywa zająć wasz zamek... Otwierać wrota!

Głowę podniósł, stary milczał długo.

— Co za Gniewkowski książę? — odparł, — my tu nie znamy żadnego. Jeden co był, to się wyrzekł ojcowizny i sprzedał ją, a kaptur wziął... innego nie ma.

— Ten ci jest... Papież go uwolnił, a król mu oddaje dzielnicę.

Słuchając stary głową potrząsał.

— Wrota otwierać!

— Idźcie od wrót, bo się bronić będziemy, — rzekł stary powolnie.

Z po za niego wystąpił w tej chwili łucznik z ogromną kuszą już napiętą w ręką, i bełtem

opatrzoną, oparł ją na poręczy ganku - -ez - p  
wał się czekać tylko, rychło mu dadzą znak —  
puścić belt, który wprost na Szaszora wymie  
rzył.

Cała kupka, która z nim pod wrota przybyła  
na widok tej zuchwałej groźby, krzyk ogromny  
podniosła. Sypały się łajania i groźby. Wołano,  
że Włocławek, Gniewków, Złotorya już się pod-  
dały...

Stary słuchał spokojnie. Zdawało się, że to  
nawet pewne na nim i na innych, co się z okien  
pokazywali, czyni wrażenie; w tem czy przypad-  
kiem, czy umyślnie, ogromny ów łucznik trzy-  
mający kuszę, pociągnął znaczek, belt świsnął  
i uwiązał w piersi Szaszora przy samym skraju  
zbroi.

Młody dowódzca krzyknął, chwycił ręką za  
tkwiący w piersi belt — chcąc go wyrwać, za-  
chwiał się na koniu, pobił i stoczył z niego  
na ziemię. Towarzysze skoczyli do niego, rato-  
wać — lecz krew mu buchnęła ustami, drgnął je-  
szcze parę razy — i skonał...

Księżę, który nieopodal patrzył na to, cofnął  
się kilka kroków.

Okrzyk zgrozy rozległ się szeroko... Ludzie  
którzy przyciągnęli z Białym, rzucili się ku mu-  
rom i z łuków do stojących na nich strzelać po-  
częli. W jednej chwili, bez rozkazu żadnego ku  
wałom i ostrokołom z toporami, z oszczepami

posypało się co żyło. Załoga jeszcze się była nie przygotowała do obrony... Rachowano może iż ten strzał i trup odstraszą... Stary dowódzca zniknął...

W twierdzy popłoch się musiał stać... Drzazga, który był Szaszora przyjacielem i powinowatym, na jego miejscu począł dowodzić, zagrzewali i inni... Lasota trąbić kazał i krzyczeć, że gdy zamek zdobędą, nikomu życia nie darują...

Przy pierwszej napaści obrona była słaba... potem zaczęto rzucać kamienie i kilka bał, ale tak niezręcznie, że się nikogo nie raziwszy, stoczyły...

Żołnierz wzięty ze Złotoryi, któremu o to szło, aby Szarlej nie zawstydził go, a spodziewał się się też przy zdobyciu łupu... — szturmował za jadle. Sam książę nie zbliżając się, na małym pagórku pozostał widzem bezczynnym..

Wszystko to — nie długo trwało jakoś — po nad wrotami wywieszono gałęź zieloną, dowódzca wyzywał na rozmowę. Drzazga nie chciał słuchać, książę kazał podbiedz Lasocie i — na wszystko się godzić, byle mu gródek poddano.

Śmierć Szaszora, nikogo się nie zdawała obchodzić, czeladź jego płacząc trupa uniosła nieco dalej, siadła nad nim i płakała, nikt zresztą na biedną ofiarę nie spojrzał.

Lasota upoważniony przez Białego, który sam przez się nic nie czynił, a ludźmi się posługiwał tylko; dopadł do wrót, i śmiały a zabiciem Sza-

szora nieustraszony wcale, zażądał aby go na rozmowę puszczo do środka.

Obleżeni musieli gwałtownym napadem już być przerażeni, gdyż stary, który wprzód występował, i przy którego boku łucznik stał, gdy strzelił — wcale się już nie pokazał, wystąpił człowiek lat średnich, który na dowódcę nie wyglądał — furte kazał otworzyć i przyjął u niej Lasotę, widocznie onieśmielony i pokorny.

Tuż przy wnijsciu była brudna izbica dla straży, z niskim pułapem, zaduszną i zaśmieconą — weszli tu Lasota, — a za nim trzech starszych zamkowych.

— Ludzie! co wy sobie myślicie — krzyknął porywczy Nałęcz. — Macie być lepsi niż Włocławek i Złotorya? Obronić się ani myśleć! Zamiast cobyście mieli ująć sobie przyszłego pana, postrzeliliście mu zdradnie jego przyjaciela!!

— Nie zdradnie! nie! — odparł jeden ze stojących, głupi łucznik wycelował wprawdzie, ale się zaklina, że belt sam, ani wie jak — z kuszy wyleciał...

— Myślicieź się bronić! — wołał Lasota. — Weźmiemy zamek nie dziś to jutro, a was czeka albo śmierć, lub dziesiątkowanie...

Trzej wysłani patrzali po sobie.

— Gdy się zdamy na łaskę — rzekł jeden — będzie się książę mścił za swego...

Łucznika który strzelił niema... Postrzegłszy

co się stało, rzucił kuszę i przez ostrokół się spuściwszy, uszedł; będzie za niego niewinny odpowiadał?

— Zdawajcie zamek zaraz — odparł Lasota — otwórzcie bramy, poddajcie się księciu, a ja w tem, mścić się nie będzie...

— Niechże jego słowo usłyszym... — odparł jeden — a potem — uderzył się po głowie — dziej się wola Boża.

Lasota, któremu pilno było — rzekł rzeźko.  
— Chodźcie za mną.

Zawahali się nieco trzech rozmówcy, poszeptali z sobą, jeden z nich wybiegł, powrócił, naradzali się znowu — Lasota naglił, ociągając się, poszli za nim wręście.

Ksiązę stał ciągle na koniu opodał, niecierpliwie się, aby co prędzej Szarleja dostać — gdy Lasota wiodąc za sobą wysłanych, zbliżył się do niego.

— Miłościwy panie — rzekł — ludzie ci zaprzysiegają, że Szaszor został trafunkiem zabity, i proszą aby go nie mszczono... a zamek poddać gotowi. Zaręczyłem im to — lecz pragną mieć wasze słowo książęce...

Białemu pomsta za Szaszora wcale podobno na sercu nie leżała, z widocznie rozjaśnioną twarzą, ręką dał znak że przystaje, a Lasota dodał z siebie.



— Musicie rodzinie za głowę zapłacić -- i tyle...

To powiedziawszy, nie dając im czasu do rozmysłu, Nałęcz odezwał się głośno.

— Wrota otwierać — bronę podnieść, a do łańcuchów u brony nasi ludzie żeby byli.

Wysłani pokłonili się księciu, w stronę zamku dając od siebie znak, aby otwierano.

Rozsypani oblegający poczęli się zbierać u wnijscia, ksiązę zatrzymał się jeszcze chwilę na pagórku... spoglądając zwycięzko ku zamkowi. Wrota otwierano... brona zwolna podchodziła do góry... Szarlej był zdobyty — kosztem życia jednego człowieka...

Z radosnym okrzykiem pierwszy oddział, w którym byli gniewkowscy ochotnicy i Drzazga zastępujący Szaszora... wpadł na zamek... Lasota towarzyszyć chciał księciu, który z pewną oględnością powoli, gdy już znaczniejsza część jego sił była na zamku, skierował się także ku niemu.

Czwarty gród już poddawał się szczęśliwemu zdobywcy, który miecza nawet z pochew nie obnażył... Nie wierzył sam szczęściu swojemu...

Drzazga i Lasota, nie pytając o rozkazy Białego, natychmiast objęli mury, postawili strażę i przez szpary patrząc na tych, co od zemsty uchodzić chcieli, dali się im wymknąć bezkarnie.

Lasota, trochę polityk rachował na to, że

książę krew rozlewając, nieprzyjaciół sobie przy-  
czyniać był nie powinien.

Stary więc dowódzca, łucznik a z niemi kilku  
jeszcze wymknęło się, gdy drudzy wchodzili...

Szarlej, choć nie był tak zaopatrzony jak  
Złotorya, miał jednak zapasy, a, co księciu naj-  
pożądalszem było, dowódzca pospiesznie ucieka-  
jąc, nie miał czasu swych groszy praskich zabrać  
i dosyć znaczna suma ich, znalazła się w skrzyni,  
której zamek odbito. Oprócz tego, sukna, odzieży,  
kun, trochę srebra i koni, Biały po nim odzie-  
dziczył.

Buśko się też pożywił i nazajutrz do kościoła  
mógł w pięknej nowej sukni wystąpić, zrzuciwszy  
ciemną, wyszarzaną, która mu zakonne czasy  
przypominała.

---

## VII.

W Poznaniu, we dworcu wielkorządcy Sędziwoja z Szubina, który po Ottonie z Piley wziął poznańskie—nie było teraz tak pusto, jak za jego poprzednika.

Wprawdzie Sędziwoj ów, Toporczyk, na poły krakowianin, do małopolan się krwią liczył, lecz trzymał województwo kaliskie, w Wielkopolsce osiadły był i rodziną z nią związany.

Przyjęli go Wielkopolanie jako swego, dla świętego spokoju, bo nieład, najazdy, rozruchy i krwawe walki już się im naprzykrzyły, a Sędziwój mąż był energiczny i dzielny.

Miał dar rządzenia ludźmi i jednania ich sobie.

Jak wszyscy Toporczycy, oprócz tych, co nieco zubożeli, Sędziwój naprzód nauczyciela miał duchownego w domu, który go przysposobił do podróży, potem jechać musiał do Włoch, do

Francji, na dwór cesarski, aby się świata uczyć, języków i obchodzenia rozumnego z ludźmi, bo każdy z Toporów miał się prawo spodziewać, że na wyższe dostojenstwa postąpi i u boku króla w radzie zasiędzie.

Z takich podróży, zwykle z mentorem duchownym odbywanych, powracali do kraju młodzieńcy, z których potem, wedle potrzeby lub wojewodów albo i biskupów robiono.

Sędziwój od natury obdarzony szczodrą, pojętną, bystrą, przytem rycerskiego obyczaju i charakteru, należał do wyboru ludzi w Polskę, do kwiatu i śmietanki. Równych mu było niewielu.

Krwi niegdyś gorącej, ale już wiekiem uśmierzanej wielce, miał powagę i umiarkowanie, a do wszelakiego stanu ludzi zastosować się umiał.

Nie było wówczas łatwo ze wszystkimi temi żywiołami, z jakich się społeczność składała, zarówno się zbratać, dać im zrozumieć i zastosować do ich obyczaju.

Obok panów takich jak Sędziwoj z Szubina, którzy na żadnym ówczesnym europejskim dworze nie byliby się zakłopotali, a wszędzie umieliby pozyskać uznanie, stała szlachta nieco otarta obcowaniem tylko z ludźmi, a pełna buty, niżej zaś jeszcze owi panosze i ubodzy szczytowi ziemianie, których mowa i obyczaj mało się różnił od kmieci. Ci spraw kraju, potrzeb jego i zawiłych kwestyi wcale nie rozumiejąc, karmiąc się

posłuchami, łatwowierni, namiętni — zawsze byli do poruszenia łatwi, a do uspokojenia trdni.

A było takiego ziemiańskiego, można powiedzieć gminu, więcej daleko liczbowo, niż głów rozumnych. I gdy z rozumnymi łącno było się porozumieć, z tamtymi nie podobna, bo ich trzeba było zyskiwać sobie, biorąc za serce i za ich słabości.

Sędziwój miał tę wyższość nad innymi, że i z biskupy a pany umiał się obejść i z pomniejszą bracią porozumieć.

Wierzyli w niego, a że przytomnym był, uprzejmym i łatwym — więc go i kochali.

Mąż powagi wielkiej, gdy konieczność wymagała, umiał ją na kołku powiesić, i być z matkami, małymi...

W samej też swej rodzinie, Sędziwój miał takich, z którymi jak z dziećmi poczynąć sobie było potrzeba.

Za młodego niegdy, zuchowatego, wesołego, mężnego Krystyna ze Skrzypowa, ojciec Sędziwoja wydał był córkę... Lata z tego człowieka, który postawą i butą się odznaczał, uczyniły teraz wielki ciężar dla rodziny i niemal zakałę.

Ciężkie to było utrapienie ten szwagier Toporeczyka, który ojcowiznę puścił, mienia utrzymać nie mógł — i cały swój czas spędzał w najpospolitszego gminu otoczeniu, byleby mu do kubka i pijatyki dotrzymywało.

Gwoli siostry, Toporeczyk musiał szwagra to tu to ówdzie na zamku sadzić, dawać mu starostwa dzierżać, aby z głodu nie umarł, a raczej aby pić co miał i zdaleka się trzymał od wojewody, który wstydzić się go musiał.

Sędziwoj z Szubina, podówczas nie młody już, nie stary też, był można rzec w sile samej, bo w owe wieki konia przed siódmym rokiem nie brano do zaprzęgu, człowiek rzadko przed trzydziestym się żenił, a we czterdziestym i pięćdziesiątym ledwie dojrzewał...

Znać na nim było ród i krew, piękną miał postawę i ta może go zaleciła więcej królowej Elżbiecie, która mężką urodę ceniła, niżeli rozum jego i nauka.

Zrodziną można naówczas w Wielkiej Polsce Sędziwój był połączony, i to także wpłynęło zapewne, że ten ród na wielkorządach go popierał.

A były one w tym kraju, którego stan wielce niespokojny, wymagał czujności największej — bardzo trudne...

Pierwsze wystąpienie gdy się Sędziwojowi powiodło, szło teraz z rządami łatwiej coraz... Miał więc nadzieję mądry pan, że powoli tu ład i spokój zaprowadzi...

Na dworze jego gościnnym, bo u wielkorządcy innym być nie mógł, nie przebierało się

ziemian, przyjeżdżających z żałami, prośbami lub po radę.

Na same święta wielkanocne tem tłumniej się rodzina, powinowaci i przyjaciele a słudzy pańscy zgromadzili. Więc i duchowieństwo, któremu biskup Jan Doliwa przewodniczył, i z Krakowa goście, i Niemców jakichś parę do stołu wielkanocnego pobłogosławionego zasiadło.

Z prastarych czasów słowiańskich i lechickich, przeniósł się był ten obyczaj ucztování wiosennego o wielkiej nocy. Pogańską niegdyś objatę, duchowni zawczasu zaczęli święcić, aby jej nadać charakter chrześcijański, i tak się nasze owo święcone zrodziło a w obyczaj poszło. Stał tylko obok jaj malowanych starych, baranek, obraz Zbawiciela, i krzyżyk nad nim zatarł wspomnienie przeszłości.

Właśnie w wielkiej izbie na zamku zasiadać miano do tej wielkanocnej uczty, która po twardej a ścisłym poście, osobliwie ostatniego wielkiego tygodnia, bardzo była pożądaną. Byli tam i tacy, co za grzechy i przez wielką pobożność od wielkiego czwartku wieczerzy nie w ustach nie mieli.

Sędziwoj z Szubina, oprócz biskupa Doliwy, bardzo dostojnych gości miał wielu. Poznański wojewoda Wicek Kępa, zaraz szedł po pasterzu, dalej Toporezyk pokrewny Zaklika z Międzygó-

rza, duchownego stanu mąż, byli i sędziowie, i kanclerze, i wojennego stanu ludzie.

Na nieszczęście tegoż dnia, aby się szwagrowi zalecić, przybył też i Krystyn ze Skrzypowa, a wojewodzie dosyć go było widzieć w swym domu, zwłaszcza przy obcych, aby mu się czoło chmurą okryło.

Choć tam wojaków jak on dosyć się znajdowało, między niemi wszystkiemi wcale niekorzystnie się wyróżniał. Twarz sama wiekuiście płomienista, niekiedy aż sina, zdradzała nałogowego opoja. Choć na święto wielkanocne przybrał się jak najpyszniej, suknia i uzbrojenie mówiły, że już nie dbał i nie wiedział, co na siebie włoży.

Krzywo na nim siedział kaftan, miecz u boku wisiał niezgrabnie, a włosy na głowie jak zboże po burzy wyglądały.

Choć mało kto mu się uśmiechał i mile go przyjmował, Krystyn był niezmiernie wesołego usposobienia, oczyma i ustami śmiejąc się do wszystkich, a ze wszystkimi za pan brat sobie postępując.

Niekiedy surowe, ostre spojrzenie Sędziwoja rzucone nań, trochę go uśmierzało, lecz wkrótce potem niepomierną, karczemną wesołością wybuchał.

Biskup sam już był stół pokropił wodą święconą, i jajami się obdzielać zaczęto, gdy u drzwi izby jakieś zamieszanie się stało, gwar i niepokoje.



Sędziwoj nawet się nie obejrzał w tę stronę, bo świątecznego dnia zbyt być dla czeladzi surowym nie chciał.

Tymczasem około drzwi coraz się większa kupka ludzi zbierała, z pochylonemi głowami słuchających jakichś szeptów, przerywanych wykrzyknikami.

Niektórzy ze słuchających ręce załamywali. Stało się widocznie coś, o czem wojewodzie oznajmić nie śmiano.

Wśród gromadki ciekawych, po za domownikami dojrzeć było można mężczyznę lat średnich, w odzieży podróżnej, zbłoconej i obryzganej, z twarzą bladą, opowiadającego coś i namiętnie rękami w różne strony ukazującego.

Był to wojak, który pot z czoła uznojonego ocierał, suknie na sobie stargane poprawiał i zamierzał widocznie wniknąć do izby, a nie śmiał.

Obejrzał się wojewoda ku drzwiom, coś go tknęło i zawołał pacholika.

— Idź zobacz, co tam u drzwi za zbiegowisko.

Chłopak pobiegł, wcisnął się, stanął i, jakby przykazania zapomniał, nie wrócił prędko. Sędziwój niecierpliwy posłał drugiego, ale i ten u drzwi utkwiał.

Był to znak, że się coś niedobrego przygodzić musiało, ze zmarszczonem czołem, iż właśnie w tę porę, gdy dar boży pożywać miano — zaszła

jakaś przeszkoda, wojewoda wstał już sam i pospiesznym krokiem poszedł ku progowi.

Zobaczywszy go obłocony podróżny, szyszak już cały zdjął, ludzie się rozstąpili.

— Drzemlik? a ty tu zkąd i z czym? — zapytał, patrząc nań surowo wojewoda.

Wszyscy milczeli, Drzemlik mając mówić, zagryzł usta, oczy jego tylko i twarz oznajmiły, że przywoził złą nowinę.

Tego się wojewoda domyślił łatwo, nie spodziewał się jednak nic wielkiego i ważnego.

— Mów że — odezwał się spokojnie.

Zająknął się Drzemlik.

— Coś ty w drodze zaniemiał? — zapytał pan z Szabina.

— Trudno bo to rzec z czym przybyłem — odezwał się wzdychając żołnierz... — Niewiadomo zkąd zjawił się Władysław książę, ten co na Gniewkowie siedział — no, i Włocławek wziął, Gniewków, opanował Złotoryą, Szarlej mu się słyszę też poddaje...

Wojewoda uszom nie wierzył.

— Oszalałeś! — zawołał...

— Tak jest, jakom rzekł — smutnie powtórzył Drzemlik — tak jest... Do Włocławka wpadli... niewiem jak, w Gniewkowie dawni słudzy go przyjęli... Złotoryę opanował zdradą, bo Romlika porwali i śmiercią mu grozili — aż Łukosz z obawy o niego bramy otworzył... a Szarlej...

pewnie się mu też poddał, bo już ludzi kupę miał, a ziemian się dużo z nim połączyło.

Pobladł Sędziwoj.

— Kiedyż się to stać mogło?—począł głosem podniesionym. — Cztery zamki opanować, na to potrzeba czasu, a żebyś ty dopiero pierwszy tu przybył z wiadomością??...

— Cztery zamki wziął we dwa dni...— odparł, ramionami ruszając Drzemlik.

Wojewoda cofnął się na krok.

— Kto cię wysłał? zkąd? kiedy?

— Ze Złotoryi uciekłem, gdy na Szarlej ciągnęli—rzekł Drzemlik. — Na to co się stało, własnemi oczyma patrzałem. Nie mówił mi nikt... bo bym nie wierzył.

Gdy wojewoda jak osłupiały stał, badając posła, od stołu przy którym nań oczekiwano, zaczęto spoglądać nań i Kępa, wojewoda poznański zmiarkował, że go tam coś złego u drzwi zatrzymało — wstał i podszedł ku niemu.

Sędziwoj się zwrócił do Kępy.

— Patrzajże wojewodo—rzekł—ten nam krasne jajko wielkanocne przywozi... prędzejbył się był tatarskiego najazdu spodziewał.

Kępa niecierpliwy człowiek, krzyknął zaraz do Drzemlika.

— Gadaaj — co jest?

— Gniewkowski ksiązę się zjawił i cztery zamki mu poddano...

— Jako? mnich??

— Przy mieczu i we zbroi widziałem go pod Złotoryą?

— Złotorya się poddała! — zawołał na głos Kępa...

Od stołu, od święconego posłyszawszy to, zrywali się wszyscy.

Zmieszali się goście, nikt nie rozumiał.

— Cóż? napaść krzyżacka? — wołali jedni— Litwini wtargnęli! — mówili drudzy. Nikomu gniewkowski książę na myśl nie przyszedł.

— Ktoś chyba postawę jego na siebie wziął— odezwał się Kępa. — Wszakże sprzedał swoją dzielnicę, pieniądze od króla wziął, cysterszem czy benedyktynem go postrzyżono...

Biskup się przeżegnał ze zdumienia.

— Nie może to być! — rzekł — bo wiem, że w Dyżonie świątobliwy żywot prowadził... Papież nasz uwolnić go nie mógł od ślubów, dla króla naszego... Nie może to być...

Sędziwoj dumiał zasmucony.

— Ojciec mój — odezwał się do Biskupa — przed się może to być — bo kto znał Władysława, uwierzy wszystkiemu. Ani się dziwię, że on kaptur zrzucił, ale zdumiewam temu, że ludzie się znaleźli, co za nim poszli...

Kępa przerwał gwałtownie.

— Oto macie com mówił, a o czem ostrzega-

jem. — Gotowi nawet takiego książęcia wziąć, byle kogo przeciw królowi postawić.

— Tak — odezwał się Sędziwoj — tak... ja, co go znałem, powiedzieć mogę, iż nie ważyłby się na taki krok, gdyby go ztąd źli ludzie nie pociągnęli.

O wyjściu z klasztoru słyhać było — a i o tem prawiono, że się bez przyczyny Wielkopolan nie stało — ale na Węgrzech, na łasce królowej mieszkał i miano mu opactwo dać...

— Sam je sobie tu wziął! — rozśmiał się Kryslyn szwagier wojewody — zuch mnich! I jeszcze się gotów ożenić.

Żart był nie w porę, namarszczyli się wszyscy. Wojewoda stał posepny. Zwrócił się do gości.

— Raczcie daru Bożego zażywać — odezwał się — ja do ust nie nie mogę wziąć, dopóki do króla gońca nie wyprawię, królowej nie dam znać, i ludzi nie każę zbierać...

Po czterech zamkach, uzuchwalony gotów się rzucić na inne. Na warchołach, co się do niego przyłączyć gotowi, nie zbywa...

Radzić potrzeba zawczasu...

Pomimo zaproszenia, goście stali nie myśląc o chlebie, bo każdy był ciekaw jakichś szczegółów. Wyciągnięto od progu Drzemlika, badając go, lecz mało z niego dobyć się dało... Smutną tylko historję Romlika opowiadał...

Ruszano ramionami, podziwiając osobliwą

przygodę; a byli i tacy, którzy o niej powątpiewać chcieli, gotowi przypuścić, że przybyłemu we łbie się pomieszało.

Całe wesele, pociecha i spoczynek dni świątecznych strute były... na twarzach wszystkich malowały się obawy o jutro. Człowiek, który mógł w przeciągu dni kilku tyle dokazać, z pomocą tych przyjaciół, których się domyślano... pokusić się też gotów był o więcej... Sędziwoj z Szubina nie wyznając tego przed nikim, przewidywał już sprzysiężenie jakieś przeciw Ludwikowi. Wiedział ilu tu miał niechętnych.

On, biskup i Kępa rozmawiali jeszcze po cichu, a drudzy otaczali Drzemlika, gdy pacholę nadbiegło oznajmując, że Romlika też Łukosz ze Złotoryi przywiózł.

W ten sposób potwierdzała się wiadomość i sam wojewoda, nie czekając aż stary dowódzca będzie się mógł mu stawić, wyszedł go szukać.

Łukosz, po skrępowaniu i umęczeniu Romlika, musiał go tu na wozie, sam przy nim jadąc — jęczącego, zboląłego przywlec, bo wojewodzie wielkorządczy chciał się koniecznie tłumaczyć...

Zobaczywszy go, ledwie dźwignąć się miał siłę. Krzepki stary, był nagle zmieniony okrutnie, nie mógł sobie przebaczyć, że oddaleniem się swem z zamku, był utraty jego przyczyną.

Ujrzawszy wojewodę, mimo bezsilności dźwi-

gnął się na pokrwanionych od łańcuchów i sznurów rękach.

— Winowajcę macie przed sobą — zawołał rozpaczliwie. — Tak! trzeba mi było dać się skusić i do brata pojechać na święta. Porwano mnie ztamtąd... a oto ten niegodziwiec, dla ocalenia mi życia, Złotoryę im oddał w ręce...

Łukosz przerwał żywo.

— Karz mnie, miłość wasza gdy chcesz... Sądziłem i sędzę że łatwiej będzie odebrać zamek na króla, niż memu dobroczyńcy życie przywrócić...

Stał milczący.

Sędziwój wysłuchawszy — zwrócił się do starego.

— Nikogo nie winię — rzekł — napaść była niepoczeiwa, niespodziana... Przewidzieć jej żadna żywa dusza nie potrafiła. Lecz zkądże ten książę? kto z nim?

— Zkąd? z piekła! — krzyknął Romlik. — Z nim? tłum i szuja, któraby do pierwszego lepszego zbója, była się przyłączyła!!

— Wiecie że i Włocławek i Gniewków opanowali? — pytał Sędziwój.

— I Szarlej pewnie — dodał Łukosz.

— Zkądże wziął ludzi? — badał wojewoda.

— Po drodze nam opowiadali, ci co z Włocławka zbiegli, że i dziesięciu koni nie miał, gdy na zamek tamtejszy wpadł... Krzyknęli że jest

rozkazanie królewskie, aby zamek zdawano — ludzie się ustraszyli...

— Przykazania królewskiego nie ma i być nie może! — zawołał wielkorządzca. Stawiłby się był z niem do mnie...

— Z Włocławka, zabrawszy część załogi, pobiegł do swojego dawniej Gniewkowa — ciągnął dalej Łukosz, a tam się do niego zbiegło pono różnego ludu dosyć... Zaraz też z niemi popędził na nas, ale wiedział że zamku inaczej nie weźmie, jak zdradą. Dlatego starego (tu wskazał na wóz) w Podgórkach chwycili i chcieli wieszać.

Około wozu, na którym leżał przywieziony Romlik, gawiedź się zbierała... wojewoda stał nad nim zadumany ponuro. W tem człowiek się precisnął ku niemu w odzieży, która zamożnego mieszczanina poznać w nim dawała.

— Naprzód on zawitał do Gniezna — odezwał się kłaniając wojewodzie. — Bodaj czy nie mieli na myśli tak samo probować tam, jako później we Włocławku... Ale tu go poznał Hanko, do którego zajechał... i zbył się go...

Wojewoda słuchał z podziwieniem.

Nie było już wątpliwości, że się po opanowaniu czterech gródków, w siłę zbiwszy, rzuci i na inne. Potrzeba było nie tracąc godziny, zbierać siły i wystąpić przeciwko najeźdźcy.



Znał Sędziwój, jakie były w Wielkopolsce marzenia i zamiary znaczniejszej części ziemian... Powodzenie mogło poruszyć umysły...

Rozkazawszy na Zamku pomieścić Romlika, miał już iść Wojewoda wyprawiać gońców i bodaj sam usiąść na konia; gdy z rozmaitych stron, zbiegowie i ci co wiernie służyli mu, nadciągając zaczęli.

Co najdziwniejsza nadjechał i stary Dersław Nałęcz, którego Wojewoda wcale się nie spodziewał. Rad mu był więc, chociaż przebiegły spiskowiec, nie po co innego tu przybył, tylko żeby wziąć języka — i zobaczyć a posłuchać, jak tu poczynać będą. Udawał obojętnego i lekceważącego...

— Co myślicie — panie Wojewodo, odezwał się po przywitaniu...

Dziw to jest, że taki niezdara jak ten książę, tak szalone miał szczęście — lecz mnie się zdaje, że ono niepotrwa. Przypadek to zrządził...

Sędziwój był małomówny...

— Co się stało, o tem już i mówić nie wiele warto, a zapobiedz, aby się gorsze jeszcze rzeczy nie działy — odezwał się zimno...

Dersław poruszał ramionami, rad był więcej też przysłuchiwać się, niż mówić.

— A może się on tam na tych zamkach trzymać? spytał...

— Nie spodziewam się — odparł Sędziwój —

łatwiej je było wśród pokoju zaskoczyć, niż obronić...

— Ludzie doń — słyszę, — kupami się wloką zewsząd — rzekł Derśław. Mówili mi, że już kilkuset ma...

Sędziwój pogardliwie ruszył ramionami.

— Na cztery zamki nie za wiele — rzekł, a moich stu nie dałbym za jego czterystu, boć to gmin czarny...

— A no — liczba! bąknął Derśław, który może chciał trochę rzucić popłochu. — Coś sobie pono i węgrzynów zamówił.

— Tem pilniej trzeba się nam też skupić i iść na niego — zawołał Sędziwój. — Spodziewam się, że i wy mi w tem pomożecie?

Derśław się trochę zmięszał.

— Ze mnie starego przybytek nie wielki — rzekł. — Sił macie i tak dosyć. Przybyłem tylko, aby was przestrzedz...

Dziękując chłodno, Wojewoda wprowadził go do izby. Sam jednak gości tu swych przyjmować nie mógł, a znaczniejsza ich część, wiadomością tą spłoszona rozchodziła się.

Krystyn tylko ze Skrzypowa, szwagier Wojewody, korzystając z popłochu, zasiadł jeść i pić, zapraszając do siebie ochotnych, jako w braterskim domu.

— Ponieważ wojna się zapowiada — wołał — trzeba się posilić na nią. Głodnemu ani myśl

dobra nie przyjdzie, ani ma ochoty wiele... Nalewać kubki!.. mówił, do służby się zwracając... Brat Sędziwój uczynił mnie tu gospodarzem...

Derśław siadł, nie odmówiwszy miodu, aby się przysłuchać...

— Cóż wy na to? — zapytał Krystyna.

— Ja na to? jak na lato — zawołał śmiejąc się już trochę podchmielony Krystyn. — Królowi zamki nie przepadną, jedno książątko gniewkowskie — o Jezu! nie straszne, a może dla mnie gdzie na odzyskanym grodzie okroi się służba — rad będę!

— Myślicie, że z gniewkowskim tak łatwo pójdzie! — odezwał się Derśław — ale to szalona palka, bez mózgu człek, a takim się szczęści.

Wiecie ile u nas tałajstwa po gościńcach się włóczyło, wszystko to pójdzie na służbę do niego... Wczoraj nie miał stu... jutro może mieć tysiąc.

— Zapominasz o tem — odparł Krystyn — że wedle wszelkiego podobieństwa, mieszka nie ma nabitego, a bez groszy najemnika nie dostanie.

— Jako? — zawołał Derśław — albo to nie słyszeliście od czego Łokieć poczynął? Z taką kupką jak i on i bez złamanego denara?

Krystyn jakoś nieustraszony śmiał się.

— Z Czechem miał do czynienia, to co in-

nego było — rzekł — tamten słabo siedział na tronie... a nasz Ludwik!! ho! ho!

Dersław nie śmiał nic rzec w tym domu przeciw Ludwika, ale mruknął.

— Tylko że Ludwika u nas nie ma, a stara baba...

Krystyn popijał... Dersław sądził, że przez niego najprędzej popłoch rzuci i począł.

— Nie lekceważcie małego... Bieda go wiele nauczyła... Szczęście szalone ma. Nie bez tego, żeby w Złotoryi i Szarleju i od gniewkowskich grosza nie dostał. Siła i u nas takich jest, co mu gotowi dać...

— To co? — rzekł Krystyn... Będziemy z mnichem wojowali! Tem lepiej, człowiek się pożywi i ręce zdrętwiałe odżyją...

Zostali w kilku zaledwie przy stole, którego mało kto dotknął, tak wszyscy zajęci byli około Wojewody, wysyłającego już gońców, posły, żołnierzy, wici...

W podwórzcu, mimo dnia Wielkanocnego, z kołaczem w jednym ręku, z biczem w drugim, z gębami pozapychanemi, na prędce do ust spragnionych niosąc kubki, które im czeladź napełniała, pacholankowie wybierali się na różne strony.

Dersław na wszystko pilne miał oko. Doczekawszy się Sędziwoja — rozmówił się z nim jeszcze i nad wieczór wybrał się nazad do domu.

O kilkoro stai za miastem, czekał nań zakapturzony jeździec...

— Jakie rozkazy? spytał.

— Siedźcie cicho — Sędziwój się ostro bierze do księcia, tamten wątpię, żeby mu dotrzymał... Trzeba czekać, jak się dalej wątek zasnuje. Nie da mu pono zagrześć miejsca we Włocławku, ani w Złotoryi...

Poszeptali coś jeszcze, i zakapturzony jeździec konia ścisnąwszy, w las się puścił, a Derśław z głową zwieszoną na piersi, powoli nazad do Wielkiej Wsi, odmawiając pacierze, i przysłuchując się głosom wieczora — podążał.

---

## VIII.

Przyjaciele starzy księcia Władysława, na wieść o jego przybyciu i powodzeniu niespodzianem, poruszyli się wszyscy, ale nigdzie radośniej nie powitano nowiny tej, jak w Drzdenku.

Stary Bodeza, wprawdzie nie najlepsze miał wyobrażenie o zdolnościach i wytrwałości Białego, kochał go, miał dlań słabość, lecz politowanie się do miłości tej przykładalo.

Jedna córka Bończy, Fryda, broniła księcia, za którą szli niekiedy i bracia Ulryk, Dobrogost a nawet Arnold. Z tych trzech, pierwszy był mu może najprzyjaźniejszym.

Właśnie w Sobotę przed przewodami na zamku w Drzdenku wszyscy zgromadzeni byli.

Letni już Bodeza, który piwa wiele pijał, a ruszał się mało, roztył się w ostatnich latach

niepomieranie i dawnych swych rycerskich obyczajów zaniechać musiał.

Córka Fryda, która za mąż wyjść, jedni powiedzieli nie chciała, drudzy twierdzili, nie mogła, wielką nad ojcem miała władzę.

Niewiasta też była, której mało kto, częściej z nią obcując nie uległ w końcu.

Niegdyś piękna bardzo, teraz jeszcze przystojna i dość świeża, umysł miała nad krasę, chociaż jak wszystkie wówczas niewiasty, czytać ani pisać nie umiała, właśnie może dla tego, w pamięci nadzwyczajnej zatrzymywała wszystko, czém ją obcowanie z ludźmi mogło zbogacić. Pieśni, modlitwy, gadki, przysłowia, wiadomości o krajach obcych — były u niej na zawołanie. Zdumiewała nie jednego, co się uczonym być sądził, a miała też tę śmiałość kobiet pięknych, co swą siłę znają, że nikomu nie ustępowała...

Mówiła kilką językami wcale dobrze. Dom cały był w jej rękach i na jej głowie, a że ojciec mało mógł się ruszać, i chyba przez okno w podwórze wyjrzał, ona za niego rozkazy dawała i urzędnikom panowała, którzy jej słuchać byli nawykli.

I szło wszystko ładem wielkim w Drzdenku, tak że Bodeza, który ją z początku za mąż chciał wydać koniecznie, teraz jej nikogo nie swatał, bo mu z nią było dobrze, a bez niejby sobie rady nie dał...

Z musu Fryda Bodeczanka pomimo niewieściego wdzięku, o którego zachowanie była troskliwą — rozkazując ciągle, coś męskiego obyczaju przybrała... Ruch jej i postawa czasem wojaka młodego przypominały...

Nie przeszkadzało to jej, wieczorem, gdy wolną była, do ręki wziąć cytrę i przy niej polskie lub niemieckie nucić piosenki; gościom ojcowskim głowy zawracać i zalotnie się uśmiechać...

Jeżeli jednak który z nich wejrzenia wyzywające, brał za dobrą monetę, i myślał sobie coś na nich budować, szorstką i szyderską dawała odprawę.

Twierdzono powszechnie, iż od tego czasu, gdy Białý u nich w Drzdenku przesiadywał, rozmiłowała się w nim bardzo i zarzekła, że za innego nie wyjdzie, tylko za niego. Gdy potem przyszła wiadomość, że mnichem został — nie zraziło ją to... upierała się przy swem, iż powróci. Śmiały się z niej niewiasty, z którymi poufałą była, lecz lata jej tej wiary nie wybrały z serca...

Gdy się w Drzdenku po raz pierwszy dowiedziano o poselstwie do Białego, piękna Fryda rozpromieniała zwycięzko... Była pewną, że gdy wróci — do niej też powrócić musi. O ważności ślubów zakonnych nie miała takiego wyobrażenia, by one wielkiego rodu męża, wiązać mo-



gły... Była pewną, że księcia rozgrzeszy Papież i uwolni...

Wprawdzie wszystkie te nadzieje zachwiały się, gdy księżę zamiast do Gniewkowa, pojechał do Budy i długo o nim słyhać nie było — lecz Fryda Bodezanka miała wytrwałość wielką — przecucia jakieś, upór niewieści...

Drugi raz zwycięzko na ojca spojrzała teraz, gdy nadbiegł poseł po zdobyciu Szarleja, oznajmujący, iż księżę cztery zamki zdobył i starych przyjaciół pozdrawia...

Poseł ten, Lasota — choć przybył z próżnemi rękami, bo księżę podarku kosztownego nie miał, a ładajakiego nie chciał ślać — sprawił nadzwyczajną radość. Fryda spytała go, czy się księcia spodziewać mogą, lecz baczny Lasota, nie obiecywał go, tłumacząc, że wiele będzie miał do czynienia około odzyskanej dzielnicy, aby ją do stanu takiego przyprowadzić, by się obronić mogła.

Włocławek, Gniewków, Złоторję, Szarlej, trzeba było w żywność opatrzyć, w ludzi, w maszyny i w pieniądze... Fryda rozumiała to... posłała życzenie szczęścia...

Dumną nim była...

Od tej chwili Bodeza, Dobrogost Arnold, a szczególnie Ulryk spędzający święta w Drzdenku, o niczem nie mówili, tylko o Białym...

Wszyscy znali go zblizka i dobrze; stary pono najlepiej... Ten głową potrzasał, nie obie-

cując sobie wiele. Ulryk przeciwnie, łudził się tą energią, którą książkę czasem okazywał, tem gwałtowniejszą, że była wybuchem słabym właściwym.

Dobrogost też nie rozpaczał o nim...

Było to wieczorem już, i przed gośćmi dla towarzystwa Bodeczy, który przez cały boży dzień piwo pijał, stały spore kubki, przy których wiodła się rozmowa o gniewkowskim księciu... Fryda się do niej nie mieszała, wchodziła i wychodziła, przysłuchując się tylko... Na podwórzu mrok był, w izbie mroczniej jeszcze... Stary na podeślanej miękko ławce w kącie, u rogu stołu odpoczywał.

Fryda właśnie była wyszła.

— Mówcie wy co chcecie, począł głosem nieco ochrypłym, jaskając się i spluwając — ja kocham go, to pewna, ale mu nie rokują dobrego nic... Jest jak to konisko, co zaprzężone bryka, wierzga, rwie się a najpierwsze ustanie...

— Tak to było, gdy młodszym bywał — przerwał Ulryk... syn Bodeczy, chudy i słuszny mąż, twarzy wesołej, o niskiem czole i wejrzeniu jasnem a nie głęboko sięgajacem. — Znaliśmy go w tych dniach żywota, gdy go boleść szarpała — więc zmieniony był — ale mu na mężtwie i na rzutkości nie zbywa... Juści to zdołbycie zamków... nie lada sprawa..

— Daj mu Boże jak najlepiej — szepnął Bodecza,

popijając — ja się boję o niego... Gdyby jeszcze Otto z Pilicy był wielkorządcą, ale z Sędziwojem...

— Tak — Sędziwój rozum ma i męstwo... i umiejętność zażycia ludzi — przerwał Dobrogost — lecz — nie ma w Wielkopolsce miru. Znają go ludzie wiernym Ludwikowi i Elżbiecie, a tych mało kto lubi...

— I — dodał Arnold — cichaczem ci, co po niego posyłali, pomagać będą Władysławowi...

Chłopię przyszło w kominie ogień naniecić, aby izbę rozświecił, gdy zatętniało na moście zamkowym, i trzech konnych wpadło szybko w dziedziniec.

Arnold oknem wyrżał...

Fryda, która od bytności Lasoty codzien chodziła strojna, z utrefionemi włosami, z łańcuchem na szyi — niby dla świąt, a w istocie dla jakiejś nadziei, do której się nie przyznawała, wbiegła żywo do izby... Rumieniec miała na licu, i drżącym głosem odezwiała się...

— Ktoś przybył...

Kończyła wyrazy te, gdy w progu ukazała się postać rycerska, mąż w płaszczu na ramionach, lekki szyszak zdejmujący z głowy...

Mimo upłynionych lat, poznali wszyscy w nim księcia Białego. Fryda zbłądłszy, o stół się oprzeć musiała.

Otyły Bodeza dobywał się z siedzenia... Dobrogost, Ulryk i Arnold spieszyli na spotkanie.

Księżę stał długo jak posąg w progu, z oczyma wlepionemi we Frydę, która drząc cała, witała go też wejrzeniem...

— Przyjaciele moi — odezwał się wreszcie gość głosem, w którym wielkie odbijało się wzruszenie — przyjaciele moi — przybyłem do was... Zbiegłem choć na godzin parę...

To mówiąc, płaszcz z ramion zsunął i zwolna począł się ku środkowi izby posuwać. Bodeza ze łzami go ściskał... Dobrogost i Ulryk wyciągali ręce, on się przecisnął pomiędzy nimi, do stojącej dalej Frydy...

Lecz jej i jemu na powitanie wzajemne wyrazów zabrakło... Dziewczę sromało się i ułękło, czując, że ją może nie taką znajdzie, jaką pamiętał. W nim wspomnienie jej z widokiem zmienionej i zwiędłej nieco — walczyło... Przyniósł tu w pamięci obraz świeżej, rozkwitłej — a znajdował choć jeszcze w kwiecie, lecz już dojrzałą, poważną niewiastę.

Nim te obrazy zlały się z sobą i rzeczywistość zatarła pamiętkę zbladłą — Biały nieporuszony stał naprzeciw niej. Ujął jej rękę i powoli do ust przycisnął.

Fryda zarumieniła się i odżyła, wyprostowała — zwyciężkiem znowu wejrzeniem mierząc

przytomnych... Radośne głosy Ulryka, Dobrogošta, Arnolda mieszały się z sobą.

— Wina, na przywitanie gościa naszego! poczał Bodecza natarczywie. Frydo! każ podać, co dom ma najlepszego, bo gość to wielki, a — Bóg świadek — niespodziewany...

Biały, który zjawił się tu, nie bez pewnej obawy i zasepienia o troski — wnet się ożywił... Twarz rozweselona odmłodziła i zatarły się na niej ślady widoczne przebytych lat w celi klasztornej...

— Pokruszyłem więzy, które mnie przykuwały — odezwał się — i spodziewam się nie dać ich już włożyć na siebie... Pan Bóg mi poszczęścił — ale potrzeba jeszcze wiele, wiele, bym stanął u celu...

— A! tak! westchnął w pół go obejmując otyły Bodecza... z Sędziwojem sprawa...

— Nie tyle się o nią troszczę — zawołał książę, jak o to, aby w Budzie mi królowa siostrzenica dotrzymała słowa... Mam jej obietnicę, że mnie popierać będzie... Jeżeli się czas jakiś utrzymać potrafię tu... królowa to wyrobi u Ludwika, że mi odda dzielnicę...

Słowa te wyrzeczone z taką śmiałością, jak gdyby prawdą były, uczyniły radosne wrażenie na słuchaczach.

Książę w istocie łądził się... Jeżeli miał obietnicę królowej ogólne, co do zapewnienia

losu swego, niestosowały się one wcale do obecnego położenia, którego królowa przewidywać nie mogła, ani pochwalić, ani uniewinnić...

Lecz Biały, dla dodania sobie męztwa, zmyślał przed sobą samym to, co pocieszać go mogło. Zapewnienie to o opiece królowej przyszło w porę i powitano je kubkami, które właśnie przyniesiono. Fryda drżącą ręką, z uśmiechem sama mu, najpiękniejszy złocisty becherek podała, a księżę patrząc jej w oczy, wychylił go do kropki.

Bodeza, który na nogach z ciężkością się mógł długo utrzymać, do siedzenia zapraszał... Dobrogost już mu krzesło przysposabiał...

W tem księżę zwrócił się ku drzwiom i pozostałemu przy nich Lasocie dał rozkaz, aby konie popasł i o wchodzącym z północy księżycu miał je do odjazdu gotowe...

Bawić nie mógł, jak powiadał.

Wszyscy się w niego z wielką wpatrywali ciekawością a najpilniej Fryda, która śledziła w twarzy, czy się jego uczucia i charakter nie zmienił.

Znajdowała go w istocie innym, starszym może, lecz takim, jakim wprzód nie bywał nigdy, podniesionym na duchu, mężnym, ufającym sobie i szczęściu swojemu. Ten wyraz oblicza wkrótce usprawiedliwiły słowa, które w początku

powoli, potem coraz żywiej i gorącej z ust jego płynąć zaczęły.

Ulryk i Dobrogost winszowali mu odzyskanej dzielnicy.

Uśmiechnął się lekceważąco,

— Moja dzielnica — rzekł, — tylko na to mi służy, abym miał gdzie pierwszą postawić stopę.

Podniósł głowę dumnie do góry i spojrzał na Frydę.

— Moja dzielnica — dodał, będzie dla mnie obozowiskiem, miejscem dogodnem, z którego robić zamierzam wycieczki.

Słuchano go z uwagą; on z lekkomyślnością człowieka, który tajemnicy w sobie utrzymać nie umie, począł niewyzywany mówić z zapalem.

— Wiecie, że niegdyś chodziłem z krzyżakami na Litwę, miałem nawet myśl jakąś wstąpić do ich Zakonu... Mam z nimi dobre stosunki, kilku towarzyszków broni; sądzę, że gdy się do nich odezwę, zrozumieją interes swój i będą mi pomocą. Wielkopolscy ziemianie nie cierpią Ludwika, chcą Piasta, przecież nie kto, tylko oni z klasztoru mnie wydobyli. Mam więc świetniejsze nadzieje, niż blade księstwo Gniewkowskie. Szczęście mi się wyraźnie uśmiecha, jest w tem palec Boży...

I wsparłszy się jedną ręką na stole — mówił ciągle z zaufaniem tem w siebie...

— Zaprawdę, życzę dobrze mężowi mojej

siostrzenicy, a lepiej jeszcze jej samej i córkom, ale one nie utrzymają się na polskim tronie. Dość im będzie Węgier i Włoch do podziału...

Milczeli słuchający, najmocniej zdumionym był stary Bodeza. Nie poznawał tego człowieka, którego pamiętał zniechęconym od świata i wzdychającym do spoczynku...

Ulryk i Dobrogost z czią spoglądali na niego.

— Wszystko to — rzekł Bodeza powoli — możliwe przy łasce Bożej, lecz wiele potu i krwi na to potrzeba...

— Ludzie płyną do mnie, cisną się, mam ich więcej, niż się spodziewałem — rzekł Biały. — Grosza mi brak trochę, ale go Wielkopolska dostarczyć musi. Ludwik zajęty Włochami, sił wielkich przeciw mnie wystawić nie będzie mógł, tymczasem ja się w nie wzmogę. Złotorja mocna jest, Włocławek także trzymać się będzie...

— Masz księżę wodza już wybranego? przerwał Arnold, na tym wiele zależy...

Księżę znowu się uśmiechnął.

— Dopóki go nie mam, — rzekł, — sam nim będę! Prawda, że z mnicha nagle nim zostać byłoby innemu trudno, ja mam we krwi to, żem do wojny stworzony... Teraz dopiero czuję, że to było przeznaczenie moje...

Tak się przechwalał księżę, a gdy parę kubków wychylił i wejrzenie pięknej Frydy zagrzało



go więcej jeszcze — nie tał już, że się o koronę polską dobijać myśli.

Mówił to z takim zaufaniem w losy swe i siłę, że wszystkim, nawet Bodczy powątpiewającemu o nim, zamknął usta.

Na twarzy Frydy odbijało się każde jego słowo... Chciałaby była nie stracić żadnego, móżdżek nie odchodzić i nie spuścić oczów z niego, przybliżyć się doń, lecz starania o wieczerzę zmusiły ją do wyjścia...

Zaledwie kilka kroków zrobiła w korytarzu, gdy przy słabym blasku ogniska, które przez otwarte drzwi kobiecej komory wpadało tu, ujrzała małą a pękłą postać jakąś ciskającą się jej do kolan i usiłującą pochwycić rękę...

Śmiech towarzyszący tej napaści przypomniał jej i dał poznać Buśka, który tu niegdyś z księciem przesiadywał, i uprosił się dziś za towarzysza, aby miłe powitać wspomnienia.

— Buśko! to ty chyba! — zawołała Fryda, której wszystko co do księcia należało, miłe było.

— Ja! to ja — odparł zadyszany mały — Takem go prosił, że mnie wziął tu z sobą... O! moja królowo! jakże tu u was dobrze i miło! Fryda go wprowadziła za sobą do izby...

Spojrzała nań, przy świetle ogniska... wydał się jej bardzo nabrzęklým, zbabiałým i starym, ten dawniej wesoły i pocieszny śpiewak i bajarz.

On ją znajdował jak dawniej piękną i całując kraj jej szaty, powtarzał to... Fryda śmiała się rada.

— Twój pan, Buśku — zawołała — także zyskał na męskiej urodzie, a urósł na takiego bohatera. Jak rycersko wygląda!

Ruszył ramionami służka, który znał dobrze swojego pana...

— Królówko moja — szepnął poufnie — nie ma się co go bać. Jemu takie bohaterstwo przychodzi i odchodzi łatwo, a że się nie odmienił wcale — ja za to ręczę...

— Przecież dokazaliście cudu! — zawołała Fryda.

— My? — szepnął Buśko — ani on, ani ja się do tego nie przyznamy... Samo się to zrobiło. Fryda się zmarszczyła.

— Nie dobrze służysz swemu panu — rzekła — kiedy mu ujmujesz sławy!

— Ja? ja go kocham jak własną wątrobę! — zawołał Buśko — nikt go jak ja nie kocha, ale nikt lepiej go nie zna... Najwięcej się o niego boję, gdy mu najlepiej, bo tylko co nie widać, gdy on sam psuć zaczyna.

Rozgniewała się piękna Bodeczanka i nóżką tupnęła.

— Niegodziwy jesteś! — krzyknęła.

Buśko pocałował rąbek jej sukni.

— Królowo moja... wy mnie sądzicie surowo — odezwał się — ja to mówię, abyście wy

go trochę otrzeźwili. Zdobył sam nie wie jak, cztery Zamki... więc już o koronie marzy, i króla chciałby z tronu zrzucić; a jemu gdyby Gniewków dali — dość by z nas dwu było...

Fryda popatrzała nań groźno...

— Rozum swój zachowaj dla siebie — rzekła surowo...

Buśko odstąpił krok i widząc, że się wdał w nie swoją rzecz, począł szeptać ciszej.

— Królowo moja! gdybym ja wam mógł opowiedzieć, jak on przez te lata ciężko za wami wzdychał, a często wspominał... jak mi wasze pieśni w klasztorze sobie nucić kazał. A myślicie, że byłby swoją celę opuścił, gdyby go tu wasze nie wabiły oczy! Wszystko to co on czyni — tylko dla was... byle wytrwał!

Tu usta sobie dłonią jakby napuchłą zamknął, śmiejąc się.

— Przecież sam mówisz i dowodzisz, że wytrwać umie, — odparła Fryda.

— Ale nie we wszystkim, — westchnął Buśko... Z Dyżonu, pojechaliśmy do Papieża, tam nam nie chcieli nic dać i nic zrobić... Żeby był zaraz puścił się do Polski... jużbyśmy wszystką biedę przebrnęli — ale do Węgier, do siostrzenicy jechał. Cośmy tam czasu zmarnowali! Król omal znowu go w kaptur nie ubrał...

Szcześciem że o was pamiętał piękna Frydo...

Bodeczanka milczała, słuchając.

Dziewczynnie kubek przynieść kazała i podała go sama Buśkowi, który od dawna pożądliwemi oczyma do koła rzucał.

— A! królowo moja — westchnął — kubek przyjmując — musiało mu w Dyżonie być bardzo tęskno... kiedy takie wino dobre porzucił...

Ale — on go tam czasem do ust nie brał, tak był stęskniony... Bywało — siedzi w nocy, nie śpi, wzdycha, a gdy posłyszysz, że czuwam, albo o was rozpowiadać, lub waszą jakąś pieśń nucić mi każe...

Fryda byłąby słuchała chętnie opowiadań po-chlebcy, który skutek ich obrachowawszy, rad był ją karmić niemi, lecz z izby gościnnej dochodził ją głos Białego... Pospieszyła tam, pod pozorem przygotowań do zastawiania wieczerzy.

Rozmowa była bardziej jeszcze ożywiona, niż przedtem. Biały na jawie marzył i zapalał się swemi snami...

— W Gnieźnie — powiadał — mam moich przyjaciół, przekonałem się, że o mnie nie zapomnieli. Z jaką serdecznością witał mnie tam pocziwy Hanko, i jakiego mi pysznego darował sokoła.

To mówiąc, nagle zmarszczył się. O sokole zupełnie był zapomniął wśród wypadków żywo po sobie następujących. Sokół, którego nie widział — wprowadził go w niepokój jakiś.

Wstał i postąpił ku drzwiom.

— Wybaczcie — rzekł — zapomniałem był

o tym sokole, a właśnie ze mną jest ten, któremu go powierzyłem. Co on z nim zrobił — wiedzieć muszę.

I — książę cały już sokołem tylko zajęty, nie zważając ani gdzie był, ani na to, że nań wszyscy zdziwieni tą zmianą patrzali, pobiegł ku drzwiom, wołając na głos — Buśka...

Był gniewny i zapłoniony...

Buśko, który kubka dopijał w komorze nieco oddalonej, nierychło wołanie usłyszał i przybiegł z twarzą wesolą. Na myśl mu nie przyszło nawet, ażeby książę się miał o sokoła troszczyć i upominać.

Z twarzą groźną, głosem gniewnym, Biały poskoczył ku słudze.

— Trutniu! coś zrobił z Hanki sokołem? mów? powierzyłem ci go? Gdzie się podział? kędyś go zostawił.

Buśko dał mu się wyburzyć, milcząc nieco, znał go dobrze...

Wiedział, że ten gniew gwałtowny niebezpieczny jest, ale przejdzie rychło. Zmuszonym był skłamać na razie. Przybrał minę poważną...

— Miłościwy książę — rzekł z przybraną pokorą niemal szydersko — nie mogłem razem pilnować osoby waszej i sokoła, zwłaszcza, że sokoł był niespokojny, jak gdyby także myślał gniazda zdobywać... Zostawiłem go we Włocławku...

Książę ochłonął, odszedł go gniew, dał znak Buśkowi, aby szedł precz. Śpiewak się do ziemi pokłonił i zniknął.

— Sokoł ten — powracając od progu począł książkę — jest wielkiej ceny... króla godzien... Nigdzie, nawet we Francji i we Włoszech takiego nie widział sokoła... Buśko się nie zdał na niankę dla tego wychowańca... muszę go tu do was odesłać, bo mnie teraz nie czas się nim zabawiać.

Wieczera była bardzo wesolą. Piękna Fryda sama nie siadając, krążyła około biesiadników, stając najczęściej u krzesła księcia... Bodcza pił tyle, że mu się kleiły oczy, Dobrogost żywy spór wiódł z Arnoldem, mieli więc sposobność Fryda i on szeptać z sobą poufale.

Dziewczę było śmiałe.

— Buśko mi po swojemu baśni prawił — rzekła — jakobyście wy mu moje pieśni śpiewać kazali... Nie wierzę temu... Gdybyście tęsknili za mną, nie zostawilibyście samej tak długo.

Książę — mnich był cały pod urokiem czaru, jaki kobieta wywiera, gdy dawno nie obcowało się z niemi poufalej. Wydawała mu się tak piękną, a nadewszystko tak ponętą tem, że mu jej oczy o miłości mówiły.

— Frydo — zawołał — Buśko nie kłamał, tęskniłem i dla was wyrwałem się ztamtąd, gdy mi oznajmiono, że wolną jesteś? Frydo — dodał

ciszej—jak skoro jeden z mych zamków umocnie,  
porywam cię...

Zarumieniła się Bodeczanka.

— Przywieź księdza z sobą tylko, któryby  
nam ślub dał — pojedę.

Ksiązę zaczerwienił się i zmięszał...

— Stanie się po twojej woli — rzekł — a gdy  
się to dopełni, uczynisz mnie niewyciężonym,  
bo mojego szczęścia bronić będę...

Cichym szeptem skończyła się rozmowa.

W tem przez okno przeciwległe; za błonami  
wyrzrał czerwony przekrojony na wpół księżyc  
wschodzący. Biały porwał się od stołu.

U progu stał Lasota, a za nim oponczą okryty,  
rozkołysany napojem i ucieszną rozmową Buśko.

— Na koń! — zawołał Biały. — Musimy prze-  
dedniem być w domu. I dwie dłonie wyciągnął  
ku gospodarzowi i jego synom, ścisnął rękę  
Ulryka, a cofającą się do progu w cień Frydę,  
ujął w pól i w czoło pocałował.

Lekki stłumiony okrzyk dał się słyszeć, na  
moście tętniało. Biały świszcząc piosenkę jakąś,  
pędził z powrotem na zamek.

---

## IX.

Upłynęło dosyć czasu, wiosna była w pełnym rozkwicie, upały letnie się zbliżały, książę i jego przyjaciele gotowali się do obrony na zamkach zdobytych.

W pierwszych dniach padła na nich trwoga, z Wielkopolski od Poznania głoszone o niezmierzonych przygotowaniach Sędziwója z Szubina, spodziewano się go co chwila. Z pośpiechem dopełniano liczby ludzi potrzebnych na załogach... zwożono pochwytnie u wieśniaków zboże, siano i zapasy... Żale i skargi rozlegały się wszędzie, lecz ani Biały, ni jego ludzie wcale nie zważali na nie...

Tymczasem dnie, tygodnie, miesiące płynęły, a Sędziwój z Szubina, znaku życia nie dawał.

Wódz był cierpliwy a mądry... Rachował on na to, że długa obawa i próżne oczekiwanie



zmoże i znuży nieprzyjaciela. Niechciał krwi daremnego przelewu w domowej wojnie.

Czasu jednakże nie tracił.

Posłańcy jego przekradali się pod rozmaitemi pozorami do obozu Białego, wielu z nich zaciągało się w służbę jego, aby podpatrzeć co się tam gotowało. Z tych ochotników potem znikali niektórzy, do Poznania zbiegając z językiem.

Wojewoda był o wszystkim najlepiej zawiadomiony...

Wahał się jeszcze od czego i kiedy rozpocząć, lecz przygotował siły przeważne, tak aby być pewnym zwycięstwa...

Z rachuby jego wypadło, na ten zamek naprzód uderzyć, który był pierwszy zdobyty.

We Włocławku wojewoda miał najwięcej oddanych mu ludzi. Gotowano wczesnie gmin i załogę groźbami zemsty jej odbierając ducha...

Książę przebywał z kolei to w Złotoryi, to w Szarleju, to w Gniewkowie. Z początku ścigali się doń różni z ochotą, zwolna jednak, gdy zapłata zalegała — niedostatek się okazał — przyjaciel ubywał zaczęło...

Stary Gniewosz tylko, Drzazga, Sikora, Lasota i kilku młodzieży, którym wojna pachła, dwór księcia składali.

Trwał jeszcze książę w usposobieniu rycerskim, w nadziejach najświetniejszych — i gdzie bez niebezpieczeństwa energję bezkarnie okazać

było można, posuwał ją do gwałtowności i przesady.

Lecz po tych wybuchach już często opanowywało go znużenie... Czas mu się wydawał długim, bezczynność go wysilała. Na krok żaden napastliwy, choćby był chciał, porwać się nie miał z czem... Ledwie było czem gródki posadzać...

Buśko wpatrując się w niego, w twarzy chmurnej widział już symptomata blizkiej zmiany... i zwrotu...

Głową potrząsał, węzélki tem skrzętniej zbierał i zabezpieczał... ale nie śmiał mówić nikomu.

Zabawiano się tymczasem na zamkach, bo książę potrzebował podbudzających rozrywek. Stoły zastawne były po całych dniach a często i nocą. Gardłował przy nich Buśko, a czasem i ściągnięte z różnych dworów dziewczęta śpiewnice... Z Torunia dostarczano wina, które Krzyżacy z piwnic swych sprzedawali, przywożono przyprawę i wymyślniejsze przysmaki.

Chciał Biały, oprócz tych zapasów coś więcej u Krzyżaków dostać... i posyłał do nich potajemnie, ofiarując się im jako hołdownik zakonu, jeśli by mu pomogli do odzyskania dzielnicy. Zakon, czy nie wiele rachował na takiego sprzymierzeńca, czy oszczędzał króla Ludwika — czy inne miał rachuby, zbył księcia

milczeniem. Nie przybył nikt z tamtąd i Białego na rozmowę nie zapraszano.

Książę obrażony, co był wielkim zakonu wielbicielem i obrońcą, zwolna wymyślać nań zaczął, a lekce go sobie ważyć.

Do książąt mazowieckich tajemne posły wróciły też z odprawą obelżywą prawie.

Wszystko to, choć nie odebrało jeszcze całkiem odwagi księcia, zachwiało jego nadzieje, zaćmiło marzenia jasne... Pokrywał tajemnicą i milczeniem te niepowodzenia—lecz wieść o nich przeciskała się do przyjaciół i odbierała im ochotę służenia osamotnionemu.

Mieli też sposobność przez ten przeciąg czasu przekonać się, że Biały, który mówił i obiecywał wiele, do czynności nie bardzo był skory.

Władał nim kto chciał, tak rad był, ażeby go ktoś zastąpił i część ciężaru wziął na siebie... Gniewosz, Drzazga, Lasota rozkazywali, rozporządzenia ich często były sprzeczne—książę wzywany do rozstrzygnięcia sporu, zdania własnego nie miał.

Najulubieńszem zajęciem jego było, u stołu zasiadłszy odgrażać się i przyszłość odgadując świetną, nią się upajać.

Niekiedy zamykał się z Buśkiem, kładł na pościeli, ręce pod głowę, i śpiewać kazał, albo go ze słowem jakim posyłał do Frydy i na odpowiedź czekał niecierpliw.

Zdawało mu się że ociąganie się Sędziwoja z Szubina, było spowodowane postrachem jego imienia i znaczenia.

— Wie pan wojewoda — mówił — że za mną Wielkopolska cała... i tylko na hasło czeka... a ruszy się... Ho! ho! mądry pan. — Zna, że nie pożyje mnie łatwo!

I śmiał się spozierając po swoich, z których wielu mu potakiwało; a gdy Gniewosz lub Lasota ozwali się czasem, że zbyt ufać nie można powolności Sędziwoja, książę się gniewał i bezmózgami ich nazywał.

Zarozumiałość ta rosta jeszcze, lecz znużenie już z nią walczyło. Aż jednego poranka od Sikory przybiegło pacholę z oznajmieniem że Sędziwój ciągnie na Włocławek... Sikora którego tam osadzono świeżo, błagał o siłę większą, albo o odsiecz przynajmniej.

Jak piorun padła ta wieść na księcia i dwór jego...

Biały, który się jej wcale nie spodziewał, na czas jakiś oniemiał, zdrętwiał, obezwładniał... Nieumiał radzić — wygodniej mu było uznać to bajkę, próżnym popłochem, niedorzeczną plotką...

Parę dni upłynęło na zupełnej bezczynności Lasota gotów był odsiecz prowadzić, Biały się pogniewał, ludzi od swego boku dać niechcąc. Szło mu o własne bezpieczeństwo.

Posłano na zwiady pod Włocławek... Biały z niedowiarka stał się niespokojnym...

Przyjaciele co mu patrzali w oczy, spostrzegli iż się zachwiał i nie wiedział co poczynąć. Niechciał się zamykać ani w Gniewkowie, ani w Złotoryi... ni w Szarleju... Wahał się to za jednym, to za drugim gródkiem, naostatek umyślił pozostać z oddziałem swym w polu, w obozie... — niby, aby przyjść z pomocą na zawołanie, gdzieby się potrzebną okazała.

Włocławek był już obleżony. Przybywający ztamtąd opowiadali, że siły wojewody były wielkie, rycerstwo zbrojne doskonale, a zamek tak opasany i zagrożony, iż niechybnie poddać się będzie musiał.

Wszystkiemu temu książę zaprzeczył, złażał posłańców, zamknął się w swym namiocie, a Lasocie rzucił tylko, by czynił co chce ku obronie, bo go za nią odpowiedzialnym czyni.

Buśko głowę zwiesił. Godzina zmiany się zbliżała... Książę jeszcze się odgrażał wieszaniem zdrajców, karami okrutnemi na tych, coby go się wazyli opuścić — lecz... głowę tracił.

Było to codzień widoczniejszym...

Do obozu księcia pocichu dostała się wiadomość o groźnych listach królewskich, które ziemianom zapowiadały za pomoc daną księciu, karę główną i zabór majątków.

Zwolna płochliwsi zbiegać zaczęli... szeregi się przerzedzały...

Od Sikory wręście przyjechał goniec oznajmujący, że zamek tak był już opasany — iż od dni dziesięciu żywności brakło i głód do poddania się zmuszał.

Biały łajał i kłął tylko... odpędził posłańca — krzycząc, że się bez Włocławka obejdzie, jeżeli go niepoczciwi zdradzą słudzy...

We dwa dni potem, Sikora sam przybiegł... bo zamek mieszczenie i załoga do poddania się zmusili — a on z murów się spuściwszy gardło ratując — uszedł.

Gdy się ukazał nie śmiano go prowadzić do księcia, nie wiedziano jak mu o tem oznajmić. Gniewosz stary nie chciał brać tego na siebie, aby być zwiastunem klęski. Lasota odmawiał pośrednictwa. Przed dworem stał z głową spuszczoną, z rękami w kieszeniach Buško. Ponieważ czas naglił, a wiedziano iż staremu śpiewakowi wiele było wolno, napędzono go, aby on szedł Białemu o przybyciu Sikory oznajmić.

Zrazu słuchać nie chciał, opędzając się tem, że, jak mówił — jemu do tego nic! zawrócił się jednak pomyślawszy i poszłapał do izby księcia.

Ten leżał na pościeli wyciągnięty, z rękami pod głowę podwiniętymi, i oczyma w pułap wlepionymi. Ponieważ po chodzie poznawał Buška wzroku nań nawet nie zwrócił posłyszawszy kroki.

Buśko siadł na swem miejscu zwykłym, na pieńku niskim, pokrytym gunią i — westchnął.

— Jest tam gość — rzekł mrukliwie — ale nie śmie wnijsć.

— Kto?

— Nie dobry gość — zawołał Buśko — ja nie chcę go oznajmywać.

Podniósł się trochę książkę i popatrzył nań.

Jak pałką po głowie, Buśko go uderzył.

— Włocławek diabli wzięli...

Zmarszczony książkę opadł na posłanie.

— Wzięli—dodał—no, to co? Mieliliśmy cztery, zostało trzy — i tego jeszcze aż nadto...

Biały milczał.

— Ja się tem nie zgryzę — mruczał Buśko — a i książkę nie powinien... Hę? Gdyśmy żadnego nie mieli, dlatego nadzieja była i nie rozpaczało się... Włocławek, prawdę rzekłszy, zawadzał nam — na co on był księciu?...

Patrzył mówiąc.

Biały, który łatwo się dał, gdy potrzebował bodźca, prowadzić lada komu, podniósł się z pościeli i odezwał,

— Na Boga, ten błazen ma więcej rozumu, niż my wszyscy... Niema od czego siwieć... ani czego rozpaczać...

Buśko głową kiwnął.

— Niechże panisko wyjdzie i pokaże im, że do serca nie bierze takiego bzdurstwa — rzekł

Buśko.— Oni wszyscy księciu w oczy patrzą i co w nich wyczytają to śpiewają.

— Kto przybył z tego Włocławku? — zapytał książę—który się wysilał na okazanie obojętności.

— Sikora!—rzekł Buśko—głód ich zmorzył... Musieli pierwszych dni strasznie jeść i ogromnie pić... więc na krótko stało...

Książę zwolna podniósł się cały z posłania, suknie na sobie potargane ociągnął, pomyślał trochę, miecz stojący u łóża przy ścianie przypasał, szyszak na głowę nałożył, w bok się wziął, rozprostował i począł iść ku drzwiom.

Buśko włókł się za nim.

Na przedsieniu stał Sikora upokorzony, z rękami zwieszonemi, jak winowajca. Biały zobaczywszy go, stanął naprzeciw. Udał że o poddaniu się nic nie wie...

— Ty tu? — zawołał — pewnie zamek głodem wzięli? Ja to dawno przewidywałem. Nie przybyłem na odsiecz, bo o Włocławek nie tak wiele stoję, a sił na to szafować nie mogę.

— Mieszczanie i załoga winna wszystkiemu — odezwał się Sikora — ja... trzymałbym się był jeszcze.

Książę ręką zamachnął obojętnie.

Wszyscy przytomni patrząc nań dziwili się krwi zimnej i przytomności księcia. W istocie był już w takim stanie, że się musiał przed ludźmi ratować kłamstwem. Mówił czego nie myślał.



W duszy miał wszystko za stracone — poczynił znużony szukać sposobu ratowania się z tej toni...

Swej bezczynności i zaniedbania nie przypisywał tych skutków, ale — brakowi poparcia, na które rachował.

Obejrzawszy się dokoła, z miną dumną skinął na Gniewosza i poprowadził go do wnętrza.

— A co? — rzekł do niego — spuściłem się na was, pięknieście mnie pokierowali. Rachowałem na Wielkopolskę, zdradzili mnie... wywiedli w pole...

— Księciu jeszcze przecie Złotorya, Szarlej został i Gniewków! — odezwał się Gniewosz.

Biały ruszył ramionami.

— Sam nie nie zrobię — rzekł — wielkopolanie mnie zdradzili...

Przeszedł się po izbie.

— Będę się bronił do upadłego — zawołał nagle. — Wezmą Złotoryę, zamknę się w Szarleju, zabiorą Szarlej, pójdę do Gniewkowa... dam się ubić na stosie gruzów!

Spojrzał na starego śledząc jego myśli.

— Będziemy się bronili — odparł stary nabierając ducha — ludzi na tyle grodów było za mało... Jesteśmy teraz silniejsi.

— I ja tak sędzę — silniejsi teraz jesteśmy — powtórzył książę...

Pomyślał trochę.

— Słuchaj Gniewosz. Hm? o tobie mało kto wie, że byłeś ze mną. Gdybyś ty tam podjechał i u Sędziwoja dostał języka, dokąd myśli ciągnąć?

Gniewosz drgnął trochę—niezbyt sobie życzył dostać się w ręce Sędziwoja.

— Ja bo jestem za stary i za ciężki — rzekł zwolna — obrótniejszego potrzeba...

— Ale ty tu jeden rozum masz — przerwał Biały — jedź, głowy ci nie zdejmą.

Gniewosz podumał—pochlebiało mu poselstwo, nie sprzeciwiał się.

— A no — bąknął—kiedy trzeba, poprobuję.

Poszedł się przysposabiać do podróży. Książę kazał sobie kubek wina grzanego przynieść, wypił je i legł znowu na pościeli. Coś musiał robić—a ochoty nie miał do niczego. W sobie już nie czuł ani woli, ani mocy...

Buśko wszedł i siadł znowu na pieńku. Biały spojrzał nań.

— Słuchaj — rzekł cicho — wszystko to na nic... Namby sobie parę dobrych koni wziąć — i ruszyć nazad do Budy...

Ja wiem że Ludwikby mnie dobrze przyjął?

— Zawczasu jeszcze—pokręcił głową Buśko— a cóż będzie z panną? Szkoda jej — i znowu każą w habit się oblec.

— I to prawda! — odparł książę — masz rozum, ja zawsze mówiłem, że ty rozum masz.

Rozśmiał się mały.

— Ja też to samo mówiłem sobie zawsze, a to bieda że oprócz księcia, nikt mi wierzyć nie chciał.

— Ludwik — przerwał Biały — nie jest zły człowiek, ale mu się zdaje, że jest taki wielki, iż drudzy przy nim nie znaczą.

— Ludwik? — powtórzył Buśko — zły nie jest, ale jak mu się robak nawinie pod nogą, to — zgniecie.

— Przecież ja nie jestem robakiem? — ofuknął Biały.

— Alboż ja to mówiłem? — odparł Buśko. — A zawsze mu się pod nogą nawijać niebezpiecznie...

Nagle porwał się książę z pościeli.

— Nie! nie — zawołał — niema nic jeszcze straconego? Błazeństwo ten Włocławek... Przecie ja go wziąłem we czterech ludzi!

Rozśmiał się.

— Tak, a Sędziwój paru set potrzebował, aby mi go odebrać. Prawda?

Potwierdził Buśko, książę coś zanucił, śpiewak mu zaczął wtórować, lecz — urwał nagle i spojrzał groźnie.

— Cały ten świat — krzyknął — panowanie, moc, bogactwo i baby wszystkie i wszystkie błyskotki marne — garści kłaków niewarte... Plunąć na to! Niema się o co dobijać...

Zaczął się śmiać siedzący w kącie.

— Ja to jeszcze w refektarzu czasu postu u Benedyktynów, gdy śmierdzącą oliwę dawali— powtarzałem — rzekł poważnie — powtarzałem to nieraz mając buty dziurawe, a księżę się śmiał ze mnie.

Biały już może myślał o czem innem, fantazja jego ciągle się na nowe przerzucała drogi.

Po wieczerzy był wesół bardzo, kazał grać i śpiewać Buškowi; kazał ludziom wytoczyć piwa, być dobrej myśli, krzyczał głośno i naśmiewał się ciągle powtarzając jedno, że gdzie on czterech ludzi potrzebował, to Sędziwój kilkuset.

Nazajutrz do dnia po tem rozweseleniu sztućcznem, zrana wstał Biały, wybladły, zestarzały, bezmówny i na rękach sparłszy głowę wzdychał. Po cichu znowu przyznał się Buškowi że wszystko było — stracone.

Tymczasem Gniewosz wyprawiony na zwiady pociągnął ku Włocławkowi.

Przez cały dzień wlokąc się w słotę, która nagle go zaskoczyła po upałach, nie spotkał nikogo z kimby się mógł rozmówić. Po gospodach przejezdni mówili, że Włocławek był wzięty, ale że przy obleganiu go Sędziwója nie było... tylko z ręki jego Jaśko Kmita... Zawczasu stanął na nocleg Gniewosz w wiosce kościelnej i na probostwo poszedł do znajomego plebana.

Zdziwił się znajdując tu, choć już było po

zielonych świątkach, świeżym tatarakiem wysłane izby, umiecione podwórko i jakieś przygotowania jakby na przyjęcie gości.

Proboszcz ksiądz Wawrzyn powitał go z uśmiechem.

— Nie wiecie rychło wojewoda nadciągnie?

— Jaki?

— A no — przecie go pewnie poprzedzacie — nasz pan Sędziwój.

— Ale ja o bożem świecie nie wiem — odparł cofając się Gniewosz — a jeśli się go spodziewacie, nie będę wam natrętnym.

— Owszem, zostańcie — prosił ks. Wawrzyn... tylko co go nie widać.

Chciał złapany tak stary wysliznąć się, ale nim go proboszcz puścił, już wojewoda z dworem swoim nadciągnął. U wnijsia zobaczywszy i poznając Gniewosza, zawołał nań.

— Chodźcie na plebanję, dobrze żem was napytał; mam mówić z wami.

Stary trochę ścierpł, lecz strachu po sobie pokazać nie chciał.

Chwila upłynęła, nim wojewoda się rozłożył, przywitał, rozmówił z księdzem i mógł do Gniewosza zwrócić.

Był spokojnego umysłu, nie okazywał najmniejszej troski, i swobodnie tak poczynął sobie, jakby sprawy Gniewkowskiego księcia na świecie nie było.

Uczyniło to na starym wrażenie, w tem Sędziwoj rzekł, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Słyszę byliście u ks. Władysława i musicie wiedzieć co on zamierza? Żli ludzie złą mu myśl poddali, gubi się biedaczysko... Żal mi go....

Gniewosz tylko coś niewyraźnego przebaknął

— Wiecie co? Gniewosz... byliście z nim dobrze — póki czas, ratujcie go.

— Cóż ja mogę? panie wojewodo? — zamruczał stary.

— Będziecie mogli, gdy zechcecie, powiedzieć mu słowa prawdy, ciągnął dalej poważnie wojewoda. Dawno się od kraju oddalił, nie zna go, nie widzi tego, że się na żaden sposób nie utrzyma, gdy ja na niego pójde, król nań zagniewany, mógłby go rozbroić pokorą, a tak nie otrzyma nic, życie może stracić, lub pójść na długoletnią niewolę...

Włocławek wzięty, ten sam los Złotoryę i inne zamki czeka...

Ruszył ramionami.

— Nakazano mi największą surowość — mówił — nikomu przebaczonem nie będzie... Głowy na karku nie pewien...

Choć nieco przestraszony, i otwartą mową Sędziwoja wywiedziony ze złudzeń, Gniewosz chciał spróbować stanąć w obronie Białego...

— Panie wojewodo — rzekł — trzeba bo mieć

litość nad nim, i pomiarkowanie... Przecież w jego żyłach krew naszych królów płynie...

— Tak — przerwał Sędziwój, ale się ona tak zmieszała przez wieki z różnemi ścieki, że jej już tam nie poczuć i nie poznać...

— Żal go...

— A co to pomoże, gdy sam sobie szkodzi i nie żałuje siebie — podchwycił Sędziwój. — Mnie go też żal... a dla tego gdy moi żołnierze go ubijają, nie powiem słowa...

Niema dlań ratunku, tylko pokora i przeblaganie króla, którego zdradził...

— Wywłaszczono go niesprawiedliwie — rzekł Gniewosz.

— Jako żywo — sam on się wywłaszczył i wyprzedał, pieniądze wziął od Kaźmirza...

— Innym ponadawano dzielnice — odparł stary.

— Przecież mnichy nie panują, a on habit wziął, i choć go zrzucił, nie przestał być mnichem...

Zamilkł Gniewosz.

— Przyjacielem mu jesteście — rzekł, przybliżając się do starego wojewoda. — Zaprawdę, powinniście do opamiętania go przywieść. Gdy nas do ostateczności doprowadzi, zły go los czeka... poddawszy się, miałby we mnie orędownika...

Stary się namyslał.

— Naprawdę to mówicie? — spytał.

— Żart by mi nie przysłał — odezwał się z powagą Sędziwój. — Sprawa nie na drwiny — bo w niej o żywot i poczeiwość chodzi.

Bronić się może, miesiąc, dwa, ale w końcu osaczę go, wezmę i gdy mi się w ręce dostanie...

Tu zamilkł nieco.

— Cóż go czeka? — spytał Gniewosz.

— U mnie sprawa króla i pokój kraju pierwsze oko w głowie. Jeśli warchoł ma nam wiecznie pokój mieć...

Ręką pokazał na szyję...

— Rzecz skończona...

— Okrutnikiem nie będziecie — szepnął Gniewosz.

— Sprawiedliwym być muszę — ciągnął Sędziwój — a sprawiedliwość litości nie zna.

Gniewosz, pod którym nogi trochę drżały, przysiadł się w rogu na ławie.

Wojewoda tymczasem z plebanem rozmawiał, śmiejąc się. Żartował z niego, że go obje ze swym dworem...

Zwrócił się potem do gościa — który powoli z ławy się poruszył. Staął naprzeciw niego.

— Wiesz co — rzekł — nie tak ja jestem serca okrutnego, jak sądzisz... — Znasz księcia, jedź do niego, powiedz mu niech w pokorę uderzy... będę sam za nim do króla przemawiał... Niech nie roi o piastowskiej swej krwi... ma przykład



na mazurach, którym rozumu nie brak, że najbezpieczniej siedzieć spokojnie... Król mu pewnie coś wydzieli, królowa się za nim przyczyni. Niech siebie i ludzi nie gubi.

Tak rozpoczynawszy od niechcenia Sędziwój, widząc że Gniewosz powoli mięknie i przekonać się daje, nastął nań silniej, gorącej — namówił wręście, żeby do księcia jechał, a zaręczył mu, iż pokorą jedną się ocali...

Cały wieczór trwały o tem rozmowy — a nazajutrz, gdy Sędziwój ku Włocławkowi dalej ciągnął, Gniewosz się zawrócił szukać Białego...

Nie był pewien gdzie go znajdzie; bo z księciem z dnia na dzień, nic nikt przewidzieć nie mógł. Wśród nocy nagle wyciągał w pole... zawracał i coraz co innego wymyślając, natychmiast przyprowadzał do skutku.

Gniewosz spieszył niespokojny. Wojewoda zupełnie przekonał, iż opór i walka były próżne. Sam stary teraz zbliża się przypatrzwszy księciu, nie wiele sobie po nim obiecywał. Chciał go ratować, gdy Sędziwój tak litościwym się okazał.

Właśnie księżę tego dnia udał się był do Gniewkowa, ztamtąd mając wielką ochotę nocą dobieść do Drzdenka dla pomówienia z Ulrykiem i Dobrogostem... Już miał konie kazać siodłać, gdy Gniewosz zmęczony nadszedł.

Poszli z nim natychmiast do komory osobnej,

lecz nim przybyły miał czas zdać sprawę ze swej wycieczki, Biały mu przerwał wykrzyknikiem.

— Wiesz, Gniewosz... ptak, którego mi w Gnieźnie darowano, przepadł! Buškę muszę kazać wsadzić w dyby...

Dziwny ten wykrzyknik pozostał bez odpowiedzi, ksiązę też już o pytaniu zapomniał, o ptaku i o Bušku.

— Cóż przywozisz? — rzekł żywo.

Gniewosz z pewnem wahaniem rozpoczął ostrożne opowiadanie... Biały słuchał go z pozornie natężoną uwagą... Brwi mu się ściagały.

Gdy stary w ostatku poselstwo swe sprawił, porwał się ksiązę zapalczywie.

— Nigdy w świecie o łaskę ich prosić nie będę. Ginać raczej, ginać, jak mnie przystało, z mieczem w dłoni...

Sędziwój się mnie lęka!

Jakże ty stary niedołego, nie dopatrzyłeś tego, nie zrozumiałeś. Chcą mnie na lep ładajaki pochwycić...

Nie — nie! To co mówisz, dodaje mi otuchy... Czuję że mam siłę, że za mną kraj cały, Włocławek! myślą że się ulękę tego iż mi go odebrali. Zrobili wysiłek... aby mnie przestraszyć...

Gniewosz zamilkł, nie mogąc przemówić słowa, tak prędko i zapalczywie ksiązę sam się podbudzając coraz — zasypywał go słowami.

— Zdrajcy! zdrajcy! wszyscy zdrajcy — ale ja się pokonać im nie dam... Zginę z mieczem w rękę, gołą garścią mnie nie wezmą.

Dał mn się wykrzycheć stary, i zamilkł. Po chwili jednak zapął ten już przygasać zaczął, głos cichł, oko się zamgliło, księżę padł na posłanie... Zaszła w nim zmiana, zaczął wypytwać Gniewosza o szczegóły, powtarzać sobie własne wyrazy Sędziwoja.

Badał i nie odzywał się już z tem co myślał... Trwało to dobry czas... Gdy Gniewosz zamilkł — Biały westchnął...

— Zresztą — rzekł cicho — cóż mi to szkodzi za poręką Sędziwoja na rozmowę się z nim udać potajemnie?? Jak sądzisz? Nie pochwyci mnie?

— Słowo dał... Zjechać się możecie gdzieś na uboczu...

Biały głęboko się zadumał.

— Gotówbym z nim mówić — rzekł. — Któż wie? Ja tu tak bardzo na nikogo rachować nie mogę... Lasota mi nie mówi nic, ale Buśko codzień przynosi wiadomość, że ktoś w nocy drał. Ludzie mnie opuszczają... Gdym płynął do ziemi świętej, pomnę, mówili marynarze, iż gdy okręt ma przepaść, szczury się z niego wynoszą.

To są szczury...

Znużony jestem, mój stary... Gdyby mi mój Gniewków oddali... niepotrzebowalbym więcej,

Fryda Bodeczanka pójdzie za mnie... Papież mnie zwolni ze ślubów... Królowa Elżbieta przemówi za mną...

Gniewosz, który tylko co słyszał go zaklinającego się, że umrze z mieczem w rękę, popatrzał nań zdumiony...

— Chcesz księżę, bym mu widzenie się z Sędziwojem ułatwił? — spytał.

Zwrót jakiś znowu nastąpił w umyśle Białego, zaciął usta...

— Sam niewiem... — rzekł. — Zobaczymy... do jutra...

Szli spać. Księżę sobie piosnki śpiewać kazał

— Wiesz — rzekł do Buśka, któremu się ze wszystkiego zwierzał. — Możeby nam czas było spocząć. Ta wojna to obrzydliwa rzecz. Z konia na koń, ani zjeść, ni się wyspać...

Bitwę rozumiem... ale nim do niej przyjdzie!

I poco się to wszystko zdało?

Zamilkł i śmiejąc się zapytał.

— Buśku — a tybyś się jeszcze ożenił?

Mały rozśmiał się.

— Gdybym księciem był! — rzekł — czemu nie, a prostemu człowiekowi na starość!

Oczy się kleiły Białemu... który już dalszego wyvodu swojego śpiewaka nie słyszał... zasnął.

Jak na świt posłał księżę po Gniewosza,

musiano go budzić. Kazał mu się zbliżyć do ust swych uchem.

— Jedź do Sędziwoja — rzekł — chcę mówić z nim — niech mi słowo da... i żeby o tem nie wiedział nikt...

Ptak mi zginął — to zły jest znak... Sen miałem niedobry... Odpocząć pragnę... Niech Sędziwój mi Gniewków wyrobi. Ja tymczasem pojedę do Drzdenka i posiedzę tam... Bodcza i Bodczanka zawsze mi radzi.

Wysłuchawszy polecenia stary, kazał sobie zgrzać piwa, różaniec na rękę wziął, i zabierał się wyjeżdżać, zawołano go do księcia.

— Wiesz co? — rzekł wstając z pościeli — możebyś nie jechał... Sam niewiem.

Gniewosz popatrzał nań zdumiony.

— Nie sądz bo — nagle zawołał Biały — że nie jestem pewny co czynić.. Owszem.. lecz...

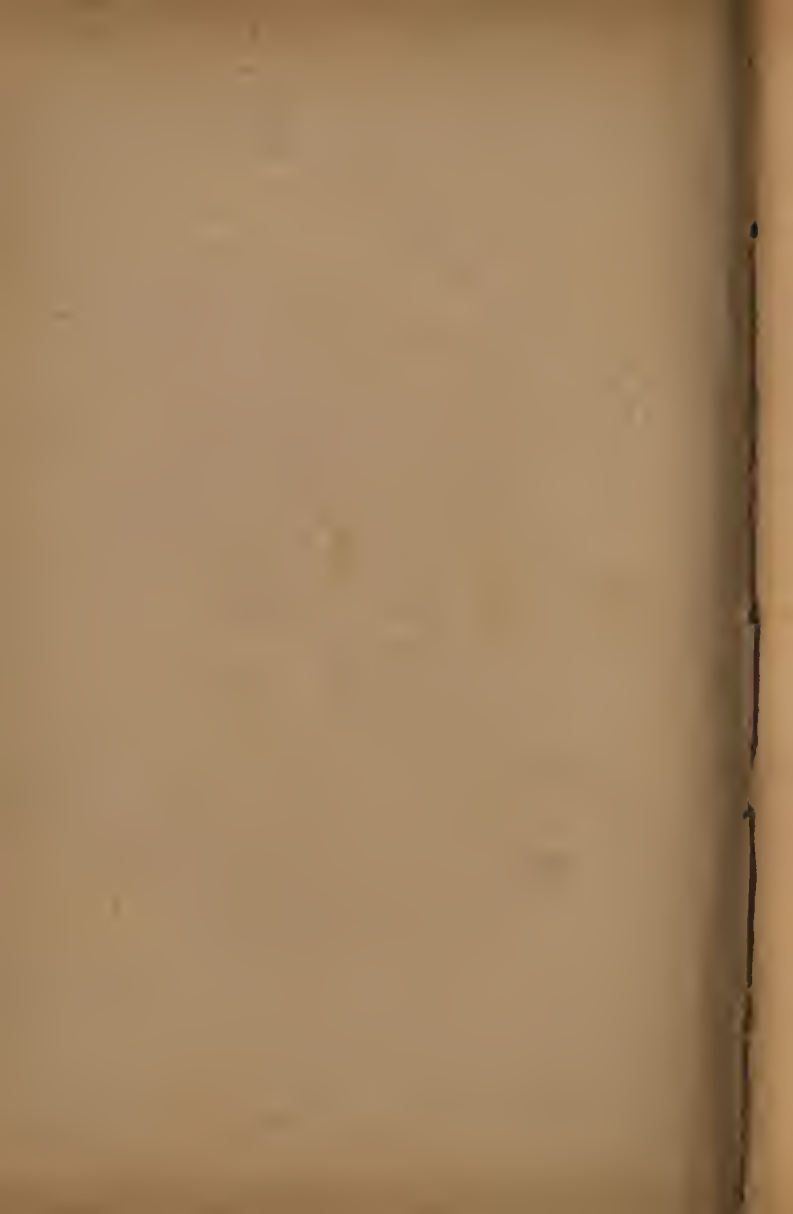
Niedokończył.

— Bądź co bądź — dodał — wybrałeś się — jedź. Nie wiem, czy to na dobre wyjdzie, lecz namówiłeś mnie... Rób jak chcesz.

I legł na pościel znowu... Stary przyjaciel smutny i chmurny, siadł na konia.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.











diekt 14 strow  
grob .

Biblioteka Raczyńskich

**JK 32**



JK0032